

# SNY W DOMU WIEDZMY



Walter Gilman nie wiedział, czy to gorączka wywołała sny, czy może raczej na odwrót. Na wszystko padał cień przyczajonej, pradawnej, plugawej grozy starego miasta i przeżartych pleśnią, bluźnierczych spadzistości dachu, pod którym pisał, studiował i borykał się z równaniami i prawami, chyba że akurat miotał się na prostym, żelaznym łóżku.

Słuch niesamowicie mu się wyczulił, osiągając prawie prymitywny poziom odbioru, będący niemal nie do zniesienia. Gilman już dawno temu zatrzymał tani zegar kominkowy, którego tykanie przywodziło mu na myśl huk dział pułku artylerii. Nocami słabe odgłosy czarnego miasta na zewnątrz, złowrogie chrobotanie szczurów w przeżartych przez robactwo ścianach wystarczyły, by odbierał je niby swoiste, diabelskie pandemonium. Mrok zawsze zdawały się przepętniać niewyjaśnione dźwięki, a jednak czasami dygotał ze strachu, póki odgłosy nie ucichły, a wówczas odbierał inne, nieco słabsze odgłosy, które, jak podejrzewał, czaiły się pod nimi.

Znajdował się w niezmiennym, nawiedzonym, pełnym legend Arkham, z tulącymi się do siebie dwuspadowymi dachami, zwieszającymi się i zaciemniającymi poddasza, gdzie pośród mroku, w dawnych czasach, przed ludźmi króla chroniły się czarownice. W mieście tym nie było bardziej mrocznego i owianego złą sławą miejsca niż szczytowy pokój, w którym znalazł swą przystań, w tym bowiem domu i w tym pokoju schroniła się ongiś stara Keziah Mason, która w niewiadomy po dziś dzień sposób umknęła z Salem, unikając stryczka.

Było to w 1692 roku - kat popadł w obłęd, bełkocząc o niewielkim, futrzastym stworzeniu z białymi kłami, które wybiegło z celi Keziah i nawet sam Cotton Mather nie był w stanie wyjaśnić znaczenia kątów oraz łuków nakreślonych na szarym, kamiennym murze jakimś lepkiem czerwonym płynem.

Może Gilman nie powinien był tak zawzięcie studiować. Geometria nieeuklidesowa i fizyka kwantowa mogą nadszarpnąć każdy umysł, kiedy zaś na dodatek ktoś interesuje się folklorem i usiłuje wysledzić dziwne źródła wielowymiarowej rzeczywistości na podstawie pewnych upiornych wzmianek z opowieści gotyckich i bluźnierczych plotek przekazywanych wieczorami przy kominku, trudno spodziewać się choćby częściowego wyzwolenia od silnego napięcia psychicznego. Gilman pochodził z Haverhill, lecz dopiero kiedy poszedł do college'u w Arkham, zaczął wiązać wyższą matematykę z fantastycznymi legendami o pradawnej magii. Jakaś aura tego mrocznego miasta mocno musiała wpłynąć na jego wyobraźnię. Profesorowie z Uniwersytetu Miskatonic nalegali, by choć trochę przystopował i z własnej woli zrezygnował z uczestnictwa w niektórych wykładach. Co więcej, odwiedli go od czerpania wiedzy z wątpliwej wartości ksiąg, zawierających sekrety, które przechowywano pod kluczem w skarbcu uczelnianej biblioteki. Stało się to jednak poniewczasie, Gilman zdążył już zajrzeć do zakazanego, przerażającego Necronomiconu Abdula Alhazreda, niepełnej Księgi Eibonu i wyklętego Unausprechlichen Kulten von Junzta, by porównać swą abstrakcyjną formułę dotyczącą właściwości przestrzeni i wymiarów - to, co znane, z nieznanym.

Wiedział, że jego pokój znajdował się w starym Domu Wiedźmy i właśnie dlatego go wynajął. W kronikach hrabstwa Essex sporo było wzmianek o procesie Keziah Mason, a to, co wyznała na torturach sądowi Oyer i кату, bez reszty zafascynowało Gilmana. Opowiedziała sędziemu Hathorne'owi o liniach i krzywych, które można nakreślić, wyznaczając kierunki wiodące poprzez ściany przestrzeni do zupełnie innych miejsc, poza nimi. Sugerowała przy tym, że wzmiankowane linie i krzywe były często używane podczas pewnych spotkań o północy

w ciemnej dolinie białych kamieni za Meadow Hill i na bezludnej wysepce na rzece. Wspomniała także o Czarnym Człowieku, o swej przysiędze i o nowym, sekretnym nahabejskim imieniu. A potem nakreśliła te linie na ścianie swojej celi i zniknęła.

Gilman uwierzył w dziwne rzeczy dotyczące Keziah i przeszedł go dziwny dreszcz, gdy dowiedział się, iż jej dom stał jeszcze, od ponad dwustu trzydziestu pięciu lat. Kiedy doszły go słuchy, jakoby Keziah po dziś dzień pojawiała się w starym domu i wąskich uliczkach opodal, gdy dowiedział się o nieregularnych śladach ludzkich zębów pozostawianych na ciałach niektórych śpiących, zarówno w tym, jak i w sąsiednich domach, o dziecięcych krzykach rozlegających się podczas Wiosennego Przesilenia i wigilii Wszystkich Świętych, o fetorze wyczuwalnym często na poddaszu starego domu po tych dwóch przerażających okresach w roku, a także o małym kudłatym stworzeniu o ostrych zębach nawiedzającym obracającą się w ruinę budowlę i z zawziętością nękającym ludzi w najciemniejszą noc, tuż przed świtem, postanowił, że za wszelką cenę musi tam zamieszkać. Wynajęcie pokoju nie było trudne. Dom był wszak mało popularny, ludzie niechętnie w nim mieszkali i dawno już obniżono tu ceny czynszu do minimum. Gilman nie mógł powiedzieć, co spodziewał się tam odnaleźć, wiedział jednak, że chciał znaleźć się w budynku, gdzie wskutek jakichś okoliczności, bardziej lub mniej gwałtownie, pewna stara kobieta z siedemnastego wieku posiadała wiedzę matematyczną wykraczającą być może poza największe współczesne osiągnięcia Plancka, Heisenberga, Einsteina i de Sittera. Badał belki i gipsowe ściany w poszukiwaniu tajemniczych znaków we wszystkich dostępnych miejscach, gdzie tapeta złuszczyła się i odwinęła, a w ciągu tygodnia udało mu się wynająć pokój na poddaszu, od wschodu, gdzie Keziah uprawiała swoje czary. Pokój stał pusty niemal od początku, nikt bowiem nie chciał zabawić w nim dłużej, niemniej właściciel domu, z pochodzenia Polak, w sprawie wynajmu tego pomieszczenia okazał się wyjątkowo nieufny. Gilmanowi wszelako nic się nie stało, aż do dnia, kiedy dostał tej gorączki. Nie ujrzał widmowej postaci Keziah, przepływającej przez posępne korytarze i pokoje, ani małej, pokrytej sierścią istoty wślizgującej się co noc na poddasze, by go dręczyć. W swych poszukiwaniach nie natknął się nawet na zapisy inkantacji. Bywało, że spacerował zaciemnionymi, niebrukowanymi alejkami, cuchnącymi wilgocią i grzybem, przy których czały się przycupnięte blisko siebie przeraźliwe, brązowe domy, liczące sobie Bóg wie ile lat, nachylone, rozchwierutane i tyjące drwiąco wąskimi oknami o małych, kanciastych szybkach. Wiedział, że tu właśnie wydarzyło się ongiś wiele dziwnych rzeczy i coś zdawało się sugerować, że pomimo pozorów spokoju upiorna przeszłość, ta najmroczniejsza, najbardziej wstydliva i zakazana, wciąż była żywa i miała się całkiem nieźle - przynajmniej wśród niektórych z tych krętych, wąskich uliczek.

Dwukrotnie wybrał się również łódką na owianą złą sławą wysepkę na rzece, szkicując osobliwe kąty przybierane przez rzędy omszałych, szarych, stojących kamieni, których pochodzenie jest niejasne, zagubione gdzieś w pomroce dziejów.

Pokój Gilmana był spory, lecz o dziwnie nieregularnym kształcie, północna ściana lekko nachylona do wewnątrz, podczas gdy niski sufit opadał delikatnym skosem w tę samą stronę. Pomijając szczurze nory i ślady pozostawione przez inne nocne stworzenia, nie było dostępu ani nawet śladu dawnego dojścia do wnęki, która musiała istnieć pomiędzy ukośną ścianą a prostym zewnętrznym murem domu od strony północnej, aczkolwiek w ścianie widocznej z ulicy można było wyraźnie dostrzec okno, dawno temu zabite deskami. Poddasze nad pokojem, które musiało mieć spadzistą podłogę, było równie niedostępne.

Kiedy Gilman wspiął się po drabinie na zasnuty pajęczynami stryszek nad resztą poddasza, odkrył pozostałości dawnych szczelin, otworów zabitych skrzętnie starymi deskami i zabezpieczonych twardymi, drewnianymi kołkami, typowymi dla ciesielki z czasów kolonialnych. Żadne jednak słowa perswazji nie były w stanie przekonać nieugiętego właściciela domu, by pozwolił mu spenetrować którąś z tych zamkniętych przestrzeni.

W miarę upływu czasu jego zainteresowanie nieregularną ścianą i sufitem w pokoju narastało, zaczął bowiem nadawać osobliwym kątom matematycznego znaczenia, które dość jeszcze niejasno zaczęło zdradzać mu ich rzeczywiste przeznaczenie. Stara Keziah, konstatował, musiała mieć swoje powody, by żyć w pokoju o tak dziwacznie wzniesionych ścianach, czyż bowiem sama nie wyznała, że to właśnie dzięki pewnym układom kątowym zdołała wydostać się poza granice przestrzeni znanego nam świata? Jego zainteresowania z wolna przeniosły się z nie badanych pustych przestrzeni za ukośnie ułożonymi powierzchniami na same powierzchnie, a ściślej mówiąc, na cel, jaki wytyczał ich szczególny układ.

Pierwsze symptomy zapalenia opon mózgowych, a wraz z nimi sny, wystąpiły z początkiem lutego. Już od jakiegoś czasu niezwykle kąty ścian w pokoju Gilmana zaczęły wywierać nań dziwny, nieomal hipnotyczny wpływ. W miarę zaś trwania mroźnej, posępnej zimy coraz częściej popatrywał on z uwagą w róg pomieszczenia, gdzie opadający sufit stykał się z wychyloną do wewnątrz ścianą. W okresie tym Gilman przejmował się mocno niemożnością skoncentrowania się na nauce, obawiał się nadchodzących egzaminów semestralnych. Jednak nadpobudliwość słuchowa równie mocno dawała mu się we znaki. Życie stało się nieustającą, prawie niemożliwą do zniesienia kakofonią rozmaitych odgłosów i, co gorsza, zaczął on również odbierać inne, rozlegające się bez przerwy dźwięki, dochodzące być może z nieznanych obszarów poza światem żyjących - balansujące na granicy słyszalności. Jak dotąd, najbardziej nieprzyjemnymi znajomymi dźwiękami było szuranie szczurów w starych ścianach. Czasami ich skrobanie wydawało się nie tylko ukradkowe, ale wręcz celowe. Gdy dochodziło spoza pochyłej ściany północnej, mieszało się z dziwnym, jakby suchym chrzęstem, a kiedy rozlegało się od strony zamkniętego od wieków poddasza nad pochyłym sufitem, Gilman zawsze zastygał w pełnym niepokoju bezruchu, jakby spodziewał się czegoś strasznego, jakiegoś niewysłowionego koszmaru, który, co prawda nierychliwy, zjawi się któregoś dnia, by go ostatecznie pochłonąć.

Sny były pozbawione choć odrobiny zdrowego rozsądku, a Gilman poczuł, że muszą być wypadkową jego

zainteresowań i dogłębnych badań z dziedziny nauki i etnografii. Zbyt wiele rozmyślał o niejasnych przestrzeniach, które, zgodnie z tym, co mówiły mu jego prawidła, musiały leżeć poza znanymi nam trzema wymiarami, a także o możliwości, że Keziah Mason, za sprawą jakiegoś niepojętego impulsu czy wpływu, zdołała odnaleźć bramę do tych obszarów. Pożółkłe ze starości kroniki zawierające zeznania jej i jej oskarżycieli były tak niesamowicie sugestywne we fragmentach mówiących o rzeczach wykraczających poza znane ludziom doświadczenia, a także w opisach nader ruchliwej, kosmatej istoty, służącej jej jako chowaniec, że pomimo niesamowitości szczegółów wydawały się boleśnie wręcz realistyczne.

Wspomniane stworzenie, nie większe niż spory szczur i nazywane przez miejscowych „Brazowym Jenkinem”, zdawało się owocem łagodnego przypadku masowej hysterii, gdyż w roku 1692, ni mniej, ni więcej, tylko jedenaście osób twierdziło, że go widziało. Były też świeższe plotki - kłopotliwe zeznania powszechnie szanowanych rzeczowych osób, które trudno uznać za fałszywe, potwierdzające się w znacznej liczbie szczegółów. Świadkowie twierdzili, że stworzenie miało długą sierść i wygląd szczura, lecz jego brodate oblicze z ostrymi jak igły zębami, choć złowrogie, przypominało ludzkie, łapy zaś wyglądały jak ludzkie ręce. Istota była posłańcem pomiędzy starą Keziah a diabłem, karmiła się krwią wiedźmy, wysysając ją niby wampir. Jej głos przypominał odrażający chichot, a umiała mówić wieloma językami. Spośród wszystkich ohydnych okropności pojawiających się w snach Gilmana, nic nie przepełniało go większą paniką i odrazą niż owa drobna, acz bluźniercza hybryda, której postać jawiła się w jego wizjach, po tysiącokroć bardziej nienawistna, aniżeli mogło to wynikać z lektury na jawie pradawnych kronik i cierpliwego przysłuchiwania się powtarzanym pokątnie plotkom.

Sny Gilmana w dużej mierze dotyczyły lotów pośród bezkresnych otchłani zmierzchu o dziwnych barwach, wśród których rozlegała się oszałamiająca kakofonia niepokojących dźwięków; otchłani, których własności, tak grawitacyjnych, jak materialnych, a także ich relacji wobec jego własnej istoty nie potrafił ani nie próbował wyjaśnić. Nie chodził ani nie wspiął się, nie latał ani nie pływał, nie wił się ani nie pełzał, a jednak doświadczał wrażenia ruchu, na poły umyślnie, na poły nieumyślnie. Co się týczyło jego własnego stanu, nie potrafił ocenić go właściwie., gdyż ze względu na jakieś dziwne zakrzywienie perspektywy nie mógł dostrzec swoich rąk, nóg ani torsu, czuł jednak, że jego ciało fizyczne oraz zdolności uległy bliżej nieokreślonej, cudownej transmutacji i deformacji rzutu, choć pozostawały w pewnym, dość groteskowym związku z jego normalnymi właściwościami i proporcjami.

Otchłanie nie były bynajmniej nie zamieszkane, wypełniały je charakteryzujące się niemożliwymi do opisanie kształtami i układami płaszczyzn masy substancji o nieludzkich odcieniach, niektóre z nich wydawały się organiczne, inne zaś nieorganiczne.

Kilka obiektów organicznych obudziło w jego umyśle odległe, mgliste wspomnienia, choć nie potrafił powiedzieć, co na swój ironiczny sposób przypominały lub sugerowały. W późniejszych snach zaczął rozróżniać odrębne kategorie, na które owe obiekty organiczne zdawały się dzielić i które w każdym przypadku wyraźnie segregowały gatunki, ze względu na ich styl zachowania i podstawy motywacyjne. Spośród tych kategorii jedna grupowała obiekty nieco mniej nielogiczne i irracjonalne w ich poczynaniach aniżeli członkowie innych kategorii.

Wszystkich tych obiektów zarówno organicznych, jak i nieorganicznych nie sposób opisać, a co dopiero zrozumieć. Gilman porównywał niekiedy materię nieorganiczną do pryzmatów, labiryntów, połączonych sześcianów i płaszczyzn, a także gigantycznych budowli; organiczne natomiast rozróżniał jako bąble, ośmiornice, wiję, żywych hinduskich bożków i skomplikowane arabeski, poruszające się płynnymi, węzowymi ruchami. Wszystko, co ujrział, było niewypowiedziane złowrogie i przerażające, kiedy zaś którakolwiek z organicznych istot swymi ruchami dawała mu do zrozumienia, że go zauważyła, fala upiornego, dojmującego lęku, który go wówczas ogarniał, powodowała, iż natychmiast się budził.

O tym, jak poruszały się istoty organiczne, nie potrafił powiedzieć więcej niż o samym sobie. W pewnym momencie zauważył kolejną zagadkę - tendencję do pojawiania się pewnych istot jakby znikąd lub znikania z równie niezrozumiałą gwałtownością.

Wycie i przeraźliwe ryki przenikające najdalsze zakamarki otchłani były niezbadane, czy to pod względem tembru, rytmu czy wysokości, wydawały się jednak zsynchronizowane z mglistymi zmianami wizualnymi, zachodzącymi u wszystkich tych nieskończonych obiektów, pospołu organicznych i nieorganicznych. Gilman odczuwał przez cały czas lęk, którego intensywność zdawała się urastać do niewyobrażalnych rozmiarów podczas kolejnych niejasnych, niepokojąco nieuchronnych fluktuacji. Nie w tej wszelako obcej domenie spostrzegł Brazowego Jenkinsa. Ów szokujący koszmar został zarezerwowany dla pewnych lżejszych, ostrzejszych snów, które nawiedzały go, nim głębiej zatapiał się w objęciach Hypnosa. Leżał pośród malw, usiłując nie zapaść w sen, gdy nagle słaba, migocząca poświata rozjaśniała starodawny pokój, ukazując wśród fioletowej mgły konwergencję pochyłych płaszczyzn, które tak dogłębnie zaprzątały jego umysł. Groza wychynęła najprawdopodobniej ze szczurzej dziury w kacie i po-truchtała do niego po podłodze wyłożonej szerokimi, zapadającymi się deskami, z wyrazem złowrogiego oczekiwania na małym, brodatym, ludzkim obliczu; szczęśliwie jednak sen ów zawsze kończył się, zanim istota zdołała zbliżyć się doń na tyle, by mogła go dotknąć. Miała diabelnie długie, ostre, psie zęby. Gilman każdego dnia usiłował zabić otwór szczurzej nory, nocą jednak jej mieszkańcy, kimkolwiek byli, przegryzali się przez przeszkodę. Któregoś dnia właściciel domu zabił otwór kawałkiem blachy, lecz tej samej nocy szczury wygryzły w niej nowy otwór, wypychając przy tym czy wywlekając na zewnątrz, do pokoju, dziwny, mały kawałek kości.

Gilman, mimo gorączki, nie poszedł do lekarza, wiedział bowiem, że nie zdałby egzaminów, gdyby polecono mu zgłosić się do uczelnianej przychodni, podczas gdy każdą wolną chwilę powinien obecnie przeznaczyć na

zakuwanie. I tak był już do tyłu z matematyką i psychologią ogólną, choć liczył, że zdoła przed końcem semestru nadrobić zaległości.

Z początkiem marca do jego snów wkradł się nowy szczegół, a koszmarnemu wizerunkowi Brązowego Jenkina zaczął towarzyszyć zamglony kształt, coraz bardziej przypominający przygarbioną, starą kobietę. Wizja ta zaniepokoiła go niepomiernie, lecz ostatecznie uznał, że w osobliwy sposób przypomina ona staruchę, którą spotkał dwukrotnie w mrocznym labiryncie uliczek przy opuszczonym, odludnym nabrzeżu. W czasie owych spotkań złe, sardoniczne i dziwnie przenikliwe spojrzenia niewiarygodnie starej babiny przyprawiały go o gęsią skórkę, zwłaszcza za pierwszym razem, kiedy wyjątkowo duży szczur, wybiegający z mroku sąsiedniego zaułka całkiem irracjonalnie przywiódł mu na myśl Brązowego Jenkina. Teraz, jak skonstatował, owe nerwowe lęki odzwierciedlały się w jego chaotycznych, posępnych snach.

Nie mógł zaprzeczyć, że stary dom wywierał nań zły wpływ, lecz jego mroczne zainteresowania, pozostałość z dawnych lat, nie pozwalały mu się stamtąd wyprowadzić. Domniemywał, że za jego mroczne fantazje w całości odpowiedzialna była gorączka i gdy tylko ta osłabnie, upiorne wizje odejdą. Były to wszelako wrażenia zdumiewająco wyraziste, żywe i przekonujące, a gdy się budził, doznawał osobliwego odczucia, że doświadczył więcej, aniżeli pamiętał. Miał przeraźliwą pewność, że w tych niezapamiętanych snach zamawiał zarówno z Brązowym Jenkinem, jak i starą kobietą i że oboje oni namawiali go, by udał się z nimi na spotkanie z trzecią, wielkiej mocy istotą.

Pod koniec marca zaczął nadrobić zaległości z matematyki, choć inne studia pochłaniały go coraz bardziej. Doznał intrygującego olśnienia związanego z rozwiązaniem równań Riemannowskich i zdumiał profesora Uphama swoim pojmowaniem problematyki czwartego wymiaru oraz innych zagadnień, które dla reszty klasy były czarną magią. Któregoś popołudnia podczas dyskusji na temat możliwości osobliwych zakrzywień przestrzeni i teoretycznych pomiarów zbliżenia czy nawet kontaktów pomiędzy naszą częścią wszechświata a najróżniejszymi odległymi zakątkami przestrzeni kosmicznej, w rodzaju najdalszych gwiazd, otchłani transgalaktycznych czy miejsc tak bajecznych i odległych, jak kontrowersyjnie pojmowane jednostki kosmiczne, znajdujące się poza całym einsteinowskim kontinuum czasoprzestrzennym, Gilman, zabrawszy głos, zdumiał wszystkich znajomością tematu, choć niektóre z hipotez wywołały później nową falę plotek na temat jego nerwowej, wynikłej z samotnego trybu życia, ekscentryczności. Studenci kręcili głowami, słysząc śmiałą teorię, że człowiek byłby w stanie - dysponując wiedzą matematyczną wykraczającą poza wszelkie znane nam obecnie dokonania w tej dziedzinie - przenieść się rozmyślnie z Ziemi na wybrane przez siebie uprzednio ciało niebieskie, mogące znajdować się w bliżej odeń niesprecyzowanej lub nawet nieskończonej wielkiej odległości w przestrzeni kosmicznej.

Krok taki, stwierdził, wymagałby dwóch jedynie etapów - po pierwsze, wyjścia ze znanej nam sfery trójwymiarowej i, po drugie, powrotu w konkretnym punkcie do tejże przestrzeni, punktów tych natomiast może być nieskończenie wiele. O tym, iż jest to możliwe bez rozstawiania się z życiem, świadczy mnóstwo przypadków. Prawdopodobnie każda istota z przestrzeni trójwymiarowej jest w stanie przeżyć w czwartym wymiarze, ale jej przetrwanie drugiego etapu zależy od tego, jaką obcą część przestrzeni trójwymiarowej wybierze na miejsce swego powrotu. Mieszkańcy niektórych planet mogą żyć na wielu innych, nawet tych znajdujących się w innych galaktykach lub w zbliżonych fazami wymiarowymi innych kontinuum czasoprzestrzennych, lecz, rzecz jasna, istnieć musi cała reszta światów niebezpiecznych dla obu stron, czy to ze względu na matematyczne zestawienie ciał czy sfer przestrzeni.

Było również możliwe, że mieszkańcy danej krainy wymiarowej przeżyją wejście do wielu nieznanych i niepojętych światów wielu bądź nieskończenie wielu wymiarów czy to wewnątrz czy na zewnątrz danego kontinuum czasoprzestrzeni - i na odwrót. Sprawa ta podlegała naturalnie dyskusji, lecz można było mieć niemal pewność, że rodzaj mutacji zapoczątkowany przejściem z danej płaszczyzny wymiarowej na inną nie będzie w pełni destrukcyjny dla biologicznej integralności człowieka, w naszym pojmowaniu tego określenia. Gilman nie miał pewności co do założeń tego ostatecznego przypuszczenia, lecz tę mglistą wątpliwość przyćmiewało niezbite przekonanie co do prawdziwości innych, bardziej wstrząsających zagadnień.

Profesorowi Uphamowi najbardziej przypadła do gustu jego demonstracja wiedzy z zakresu wyższej matematyki w połączeniu z pewnymi elementami pradawnej wiedzy magicznej, o ludzkim lub nawet praludzkim rodowodzie, przewyższająca w znacznym stopniu nasze możliwości pojmowania wszechświata oraz rządzących nim praw.

Z początkiem kwietnia Gilman zaczął się poważnie martwić, gdyż gorączka, która go nękała, bynajmniej nie spadała. Ponadto zaniepokoiły go doniesienia współlokatorów o rzekomych przypadkach jego chodzenia we śnie. Wydawało się, że często wstawał z łóżka, a mężczyzna mieszkający w pokoju niżej donosił o skrzypieniu desek podłogi w późnych godzinach nocnych. Człowiek ten wspominał też, jakoby słyszał nocami odgłosy obutych stóp, lecz Gilman był pewien, iż tamten się mylił, gdyż buty jak i reszta przyodziewku znajdowała się rano tak, jak je pozostawił. W tym mrocznym starym domu urojenia słuchowe nie należały do rzadkości, czyż bowiem sam Gilman nie odnosił teraz wrażenia, że z mrocznych czeluści za pochyłymi ścianą i dachem dochodziły inne jeszcze, poza szczurzym skrobaniem, odgłosy? Jego boleśnie wyczulone zmysły zaczęły nasłuchiwać dochodzących z zamkniętego poddasza kroków i niekiedy złudzenia okazywały się nad wyraz realne.

Wiedział wszelako, że stał się somnambulikiem, dwakroć bowiem nocą jego pokój zastano pusty, choć ubranie leżało na swoim miejscu. Zapewnił go o tym Frank Elwood, kolega ze studiów, którego bieda zmusiła do wynajęcia pokoju w tym mrocznym, oboknym i powszechnie nie lubianym domu. Elwood uczył się do rana i zajrzał do pokoju Gilmana z prośbą o pomoc w rozwiązaniu pewnego szczególnie trudnego równania, lecz mieszkanie zastał puste. Może nie powinien był otwierać nie zamkniętych na klucz drzwi, gdy nie uzyskał odzewu na swoje, dość

natarczywe pukanie, lecz potrzebował pilnie pomocy i przypuszczał, że nawet obudzony, jego przyjaciel nie będzie miał mu tego za złe. Ani za pierwszym, ani za drugim razem Gilmana nie było w pomieszczeniu, a kiedy mu o tym wspomniano, zastanawiał się, dokąd mógł się udać, boso i tylko w piżamie. Postanowił rozwikłać tę zagadkę, jeśli doniesienia o jego lunatyzmie będą się powtarzały, myślał nawet o rozsypaniu mąki na podłodze w korytarzu, aby stwierdzić, w którą stronę się udał, lunatykując. Domniemywał, że wychodził drzwiami, gdyż za wąskim oknem nie było najwęższego nawet parapetu.

Dni miały, a wyostrzony gorączką słuch Gilmana zaczęły drażnić modlitwy głośno odmawiane przez nader pobożnego mechanika nazwiskiem Joe Mazurewicz, który miał swój pokój dwa piętra niżej. Mazurewicz opowiadał długie, szaleńcze historie o duchu starej Keziah i kudłatej obrzydliwej istoty o długich kłach i dodawał, że zjawy te nękały go tak okrutnie, że tylko srebrny krucyfiks - otrzymany z tego właśnie względu od ojca Iwanickiego z kościoła św. Stanisława - był w stanie przynieść mu ulgę. Teraz modlił się, gdyż niedaleko już było do sabatu czarownic. Zbliżał się maj, a wraz z nim Noc Walpurgii, kiedy na ziemię przybywały demony z najczarniejszych otchłani piekieł, a wszyscy niewolnicy Szatana zbierali się, by dokonywać plugawych czynów i wypełniać bluźniercze obrzędy. W Arkham zawsze był to fatalny okres, choć prawi mieszkańcy domów przy Miskatonic Avenue oraz ulic High i Saltonstall udawali, że nic o tym nie wiedzą. Wydarzy się wiele złych rzeczy i być może również zaginie kilkoro dzieci. Joe wiedział o tym, gdyż jego babka w Starym Kraju słyszała różne opowieści od swojej babki.

O tej porze roku rozsądnie było modlić się i odmawiać różaniec. Przez trzy miesiące Keziah i Brązowy Jenkin nie zbliżali się do pokoju Joe ani Paula Choińskiego, a to nie mogło oznaczać nic dobrego. Widać coś szykowali.

Szesnastego Gilman poszedł do lekarza i z pewnym zdumieniem dowiedział się, że nie miał tak wysokiej temperatury, jak się obawiał. Lekarz zadał mu kilka krótkich, rzeczowych pytań i poradził mu, by skontaktował się z psychiatrą. Po namyśle Gilman ucieszył się, że nie zdecydował się na wizytę u lekarza uczelnianego, który był bardziej dociekliwy. Stary Waldron, u którego zasięgał porad wcześniej, poradziłby mu dłuższy odpoczynek, co zwłaszcza teraz, gdy był bliski rozwiązania swoich równań, nie wchodziło w rachubę. Tak niewiele dzieliło go od granicy znanego nam wszechświata i czwartego wymiaru, a kto wie, jak daleko mógł ostatecznie dotrzeć?

Równocześnie zaczął się zastanawiać nad źródłem owej dziwnej pewności siebie. Czy ta złowroga bliskość brała się z formuł, którymi dzień po dniu zapełniał teraz kartki papieru? Te mylne, ukradkowe, wyimaginowane kroki na zamkniętym poddaszu doprowadzały go do obłądu. Teraz zaś narastało w nim przeczucie, że ktoś stale próbuje nakłonić go do czegoś, czego nie był w stanie uczynić. A co z somnambulizmem? Dokąd udawał się nocami? I co począć ze słabym dźwiękiem, który, jak mu się wydawało, nawet za dnia, na jawie przewiercał się przez natłok łatyjących do zidentyfikowania odgłosów? Jego rytm nie korelował z żadnym znanym dotąd na Ziemi, z wyjątkiem być może kadencji jednego lub dwóch niewypowiedzianych sabatowych zaśpiewów, i czasami Gilman odnosił wrażenie, że miał on coś wspólnego z mglistymi, niejasnymi wrzaskami czy rykiem dochodzącym z obcych, niegościnnych otchłani snu.

Sny tymczasem stawały się coraz gwałtowniejsze. Zła stara kobieta wydawała się teraz znacznie bardziej złowroga niż dotychczas, a Gilman wiedział, że to właśnie ona wystraszyła go w dzielnicy nędzy. Przygarbiona, długonosa, o cofniętym podbródku - nie mógł się omylić - wrażenia dopełniał bezkształtny brązowy ubiór. Na jej twarzy malował się wyraz odpychającej wrogości i rozbawienia, a kiedy się budził, pamiętał jeszcze jej głos, który przekonywał i groził. Musiał spotkać się z Czarnym Człowiekiem i udać się potem wraz z nim przed tron Azathotha do jądra ostatecznego chaosu. Tak powiedziała. Musiał podpisać księgę Azathotha własną krwią i przyjąć nowe, sekretne imię, właśnie teraz, gdy jego tajemne studia posunęły się tak daleko. Przed pójściem z nią i Brązowym Jenkinem do tronu Chaosu, gdzie cienkie flety wygrywały obłądne melodie, powstrzymał go fakt, że w Necronomiconie natknął się na imię „Azathoth” i wiedział, że oznaczało ono pierwotne zło, zbyt przeraźliwe, by można je opisać.

Stara kobieta pojawiała się zawsze znikąd, w kącie u zbiegu pochyłej ściany z sufitem. Zdawała się materializować bliżej sklepienia niż podłogi i każdej nocy wydawała się nieco bliższa i bardziej wyrazista. Podobnie Brązowy Jenkin, który z każdym snem coraz bardziej przybliżał się ku niemu, a jego żółtobiałe kły połyskiwały posepnie w nieziemskiej, fioletowej poświacie. Jego piskliwy odrażający chichot coraz częściej rozlegał się nawet na jawie w umyśle Gilmana, rankiem zaś Walter przypomniał sobie wypowiedziane przez istotę słowa - „Azathoth” i „Nyarlathotep”.

W głębszych snach wszystko było równie wyraziste, a Gilman zorientował się, że spowite poświatą zmierzchu otchłanie wokół niego były domeną czwartego wymiaru. Owe organiczne istoty, których ruchy zdawały się najmniej absurdalne i nieprzemysłane, stanowiły zapewne projekcję form życia z naszej własnej planety, w tym również ludzi. Czym były inne, nie ważył się nawet domniemywać. Dwie z mniej irracjonalnie poruszających się istot, raczej spore skupisko opalizujących, sferoidalnych bąbli oraz znacznie od niego mniejszy polihedron o nieznanym barwach i gwałtownie zmieniających się kątach powierzchni najwyraźniej go dostrzegły i albo podążyły za nim, albo płynęły tuż przed nim, gdy zmieniał pozycję pośród gigantycznych pryzmatów, labiryntów, gromad sześcianów i płaszczyzn oraz quasi-budowli. Przez cały czas niejasne wrzaski i ryki coraz bardziej przybierały na sile, jakby zbliżały się do osiągnięcia jakiegoś przerażającego crescendo o niemożliwym do zniesienia, nieopisanym, niewyobrażalnym wręcz natężeniu intensywności.

Nocą z dziewiętnastego na dwudziestego kwietnia wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Gilman na wpół mimowolnie przemierzał otchłanie zmierzchu wraz z masą bąbli i niewielkim polihedronem, gdy nagle spostrzegł osobliwie regularne kąty utworzone przez krawędzie jakiegoś gigantycznego zbiorowiska pryzmatów,

znajdującego się nieopodal. W następnej sekundzie wyrwał się z głębin i stanął drżący na kamiennym stoku skąpanym w intensywnym, rozrzedzonym zielonym świetle. Był bosy i w koszuli nocnej, a gdy spróbował iść, przekonał się, że podnoszenie stóp przychodzi mu z ogromnym trudem. Wirujący opar skrył wszystko, z wyjątkiem najbliższej pochyłości, a Gilman aż się skulił, usiłując nie myśleć, jakie odgłosy mogą wypłynąć spośród tej osobliwej góry.

Naraz ujrzał dwa kształty pełzające mozolnie w jego kierunku, starą kobietę i małe, kosmate stworzenie. Starucha podciągnęła się na kolana i w niezwykłym geście skrzyżowała ramiona, podczas gdy Brązowy Jenkin wskazał kierunek swą odrażającą antropoidalną przednią kończyną, unosząc ją z wyraźnym trudem. Pod wpływem bliżej niesprecyzowanego impulsu Gilman zaczął brnąć przed siebie w stronę wskazywaną mu przez kudłatego stworka i układ rąk starej wiedźmy. Zanim, powłócząc nogami, zrobił trzy kroki, zapadł się znowu w otchłani skąpaną blaskiem wiecznego zmierzchu. Wokół niego gromadziły się mrowia geometrycznych kształtów, wśród których ogarnęło go nagle oszołomienie i wrażenie bezkresu. W końcu obudził się w swoim łóżku, w pokoju na piętrze tego niezwykłego, budzącego grozę starego domu.

Tego ranka czuł się bardzo zmęczony i nie poszedł na zajęcia. Coś tajemniczego najwyraźniej przykuwało jego wzrok, gdyż nie był w stanie oderwać oczu od pewnego, na pozór zwyczajnego miejsca na podłodze. Nieco później skupił swój niewidzący wzrok na zupełnie innym punkcie, a w południe jak otępieły zaczął wpatrywać się w pustkę. Około drugiej wybrał się na obiad, a przemierzając wąskie uliczki miasta, wędrował przez cały czas na południowy wschód. Dopiero zmęczenie skłoniło go do zajścia do kafejki przy Church Street, kiedy zaś się posilił, znów odczuł ów silny, nieznany i nieprzeczony impuls. Będzie musiał w końcu odwiedzić psychiatrę - może w tym wszystkim istniał jakiś związek z jego somnambulizmem, lecz póki co, powinien sam spróbować przełamać zły czar. Bez wątplenia mógł jeszcze wyzwolić się od przyciążającej go siły, dlatego też, z wielkim wahaniem, stawiał jej czoło i skierował się na północ, wzdłuż Garrison Street. Zanim dotarł do mostu na Miskatonic, był zły zimnym potem i kurczowo ścisnął żelazną poręcz, wpatrując się w górę rzeki, na okrytą złą sławą wyspę, której regularne linie ustawionych pionowo kamiennych bloków lśniły posepnie w popołudniowym słońcu.

I nagle ogarnęło go przerażenie. Na ogromnej wyspie ujrzał bowiem wyraźnie sylwetkę ludzką, a ponowne spojrzenie upewniło go, że miał przed sobą dziwną, starą kobietę, której złowroga postać nawiedzała jego sny, zmieniając je w koszmary. Wysoka trawa wokół niej również się poruszała, jakby tuż nad ziemią u jej stóp pełzało jakieś małe stworzenie. Kiedy starucha zaczęła odwracać się ku niemu, zbiegł z mostu i ukrył się w labiryncie uliczek na nabrzeżu. Mimo odległości dzielącej go od wyspy czuł, że monstrialne i niepokonane zło w każdej chwili mogło napłynąć doń w sardonicznym spojrzeniu tej zgiętej w pół pradawnej postaci w brązowym odzieniu.

Wciąż coś ciągnęło go na południowy wschód, toteż nie bez trudu Gilman wrócił wreszcie do starego domu i wspiał się po rozchwierutanych schodach. Przez wiele godzin siedział milczący i zrezygnowany, ze wzrokiem skierowanym ku zachodowi. Około szóstej po południu jego wyczulone uszy wychwyciły zawodzący głos modlącego się dwa piętra niżej Joe Mazurewicza i ogarnięty desperacją schwycił kapelusz i wypadł na ozłoconą promieniami słońca ulicę, pozwalając się prowadzić nieodpartemu instynktowi w nieznaną. W godzinę później zmrok zastał go na polu za kaczym potokiem; w dali przed nim migotały pierwsze gwiazdy. Pragnienie marszu zastąpiła nagle nieprzeczona chęć dokonania mistycznego przeskoku w kosmos i wtedy zorientował się, co było źródłem trawiącego go impulsu. Niebo. Konkretny punkt pośród gwiazd obrał go sobie za cel i przyzywał.

Był to punkt leżący pomiędzy Hydrą a Argo Navis. Gilman wiedział, że zew ten towarzyszył mu od chwili, kiedy obudził się tego ranka, po wschodzie słońca. Rano miał owo miejsce pod stopami, teraz natomiast leżało ono na południe, a ściślej na południowy zachód od niego. Co to mogło oznaczać? Czyżby tracił zmysły? Jak długo to potrwa? Gilman znów zebrał się w sobie i zawrócił do złowrogiego, starego domu.

Mazurewicz czekał na niego w progu i z pewnym niepokojem, ale i wahaniem zaczął szeptać mu nowe, wywodzące się zapewne ze starych legend historie. Mówiły o wiedźmim świetle. Poprzedniego wieczoru Joe nie było w domu - w Massachusetts był Dzień Patriotów - i wrócił dobrze po północy. Spoglądając na dom z zewnątrz, w pewnej chwili odniósł wrażenie, że w pokoju Gilmana jest ciemno, gdy wtem dostrzegł bijącą z wnętrza słabą, fioletową poświatę. Chciał ostrzec młodego dżentelmena przed tym światłem, gdyż wszyscy w Arkham wiedzieli, że to wiedźmie światło Keziah, które pojawiała się w pobliżu Brązowego Jenkina i ducha samej starej czarownicy. Wcześniej o tym nie mówił, teraz jednak nie miał wyboru, gdyż znaczyło to, że Keziah i jej długo-zęby chowaniec nawiedzała młodzieńca po nocach. Któregoś razu on, Paul Choiński i właściciel domu, Dombrowski, odnieśli wrażenie, że dostrzegają światło przeświecające przez szczeliny zamkniętego na cztery spusty poddasza nad pokojem studenta, lecz zgodnie uznali, że nikomu więcej o tym nie powiedzą. Będzie chyba lepiej dla młodego dżentelmena, jeżeli niezwłocznie zajmie jakiś inny pokój i zdobędzie krucyfiks od porządnego, uczciwego księdza, takiego, jak ojciec Iwanicki.

Mężczyzna mówił bez chwili przerwy, a Gilman poczuł dojmujący lęk, ściskający go za gardło. Wiedział, że wczoraj wieczorem, wracając do domu, Joe musiał być na wpół pijany, a jednak wzmianka o fioletowym świetle w oknie jego pokoju przyprawiła go o gęsią skórę. Taka wszak poświata otaczała złowrogą kobietę i jej kosmatego familiara w owych lżejszych, bardziej wyrazistych snach, poprzedzających jego zanurzenie się w czeluściach nieznanego otchłani, a myśl, że inna osoba na jawie mogła ujrzeć ową senną jasność, wprost nie mieściła mu się w głowie. Tylko jakim cudem ten człowiek mógłby coś takiego wymyślić? Czyżby poza chodzeniem we śnie zdarzało mu się również rozmawiać z napotkanymi przypadkowo osobami? Nie, rzucił Joe, bynajmniej, ale należałoby to zbadać. Może Frank Elwood mógłby mu coś powiedzieć, choć nie miał wcale ochoty pytać go o cokolwiek.

Gorączka - szalone sny - somnambulizm - omamy słuchowe - dziwny impuls, przyciągający jego wzrok ku niebu - a teraz jeszcze szalone podejrzenie o rozmowy w trakcie lunatycznych przechadzek! Musiał przerwać swoje studia, odwiedzić psychiatrę i odzyskać równowagę umysłową. Wchodząc schodami na piętro, zatrzymał się przed drzwiami pokoju Elwooda, ale okazało się, że jego przyjaciel dokądś wyszedł. Gilman z wahaniem, niespiesznie wszedł do swego pokoju i przez dłuższy czas siedział po ciemku. Wciąż spoglądał ku zachodowi, lecz równocześnie nasłuchiwał jakichś odgłosów z zamkniętego strychu powyżej i w duchu wyobrażał sobie złowróżbną, fioletową poświatę wypływającą przez niezliczone szczeliny w wąskim, pochyłym suficie.

Tej nocy, gdy Gilman usnął, fioletowe światło zalało go z większą niż dotąd intensywnością, a stara wiedźma i małe, kosmate stworzenie zbliżyli się doń jeszcze bardziej niż kiedykolwiek, szyszcząc nieludzkimi piskami i szatańskimi gestami. Z radością zapadł się w przesycone osobliwym rykiem zmroczniałe otchłanie, choć pościg za nimi opalizującego grona bąbli małego kalejdoskopowego wielościanu wydał mu się złowieszczy i irytujący. Wtedy nastąpiła zmiana - ponad i poniżej niego pojawiły się rozległe, zbieżne płaszczyzny. Zmiana ta dobiegła kresu w jednym oślepiającym błysku szaleństwa i powodzi nowego, obcego światła, w którym żółć, karmin i indygo tworzyły posępną i obłądną mieszankę.

Na wpół leżał na wysokim tarasie, zdobionym fantastyczną balustradą, ponad bezkresną dżunglą dziwacznych, niewiarygodnych szczytów, wypoziomowanych płaszczyzn, kopuł, minaretów, horyzontalnie ułożonych dysków wspartych na iglicach i całym mnóstwem jeszcze bardziej niewysłowionych form z kamienia i metalu, które skrzyły się upojnie w zmieszanej, niemal oślepiającej poświacie polichromatycznego nieba. Spoglądając w górę, ujrzał trzy niesamowite ogniste dyski o różnych odcieniach i znajdujące się na różnej wysokości nad nieskończenie odległą, zaznaczoną pasmem niskich gór krzywizną horyzontu. Z tyłu, za nim, jak okiem sięgnąć rozciągały się rzędy tarasów. Miasto poniżej zdawało się nie mieć końca. Gilman modlił się w duchu, by nie napłynął stamtąd żaden dźwięk.

Chodnik, z którego podniósł się bez trudu, wykonany był z bliżej nieokreślonego, pożytkowanego, polerowanego kamienia, a płyty, w kształtach i o najróżniejszych kątach, jakie sobie tylko można wyobrazić, wydały mu się nie tyle chaotyczne, ile raczej podporządkowane prawom jakiejś niezemskiej, niepojętej dla ludzi symetrii. Balustrada sięgała mu do piersi, była delikatna i fantastycznie kuta, a na poręczy, w niewielkiej od siebie odległości, umieszczono misternie wykonane małe figurki o groteskowym wyglądzie. One również, podobnie jak cała balustrada, zdawały się zrobione z jakiegoś lśniącego metalu, którego koloru nie sposób się było domyślić w tym chaosie zmieszanych barw, a ich natura wykraczała poza ludzkie zdolności pojmowania. Miały baryłkowaty kształt, były prążkowane i u góry ozdobione promieniście ramionami, u dołu zaś pionowymi wypustkami i guzami. Każda z gałek była osią dla pięciu długich, płaskich, trójkątnie zwężających się ramion nadających obiektowi wygląd rozgwiazdy, niemal horyzontalnych, lecz nieznacznie oddalonych od skrajów środkowej wypukłości. Podstawa dolnej, pękatej części była tak delikatnie przytwierdzona do barierki, że kilka obiektów odłamało się i w miejscach tych ziały rażące dziury.

Obiekty miały cztery i pół cała wysokości, a dzięki rozpiętości ramion osiągały aż dwa i pół cała średnicy.

Kiedy Gilman wstał, posadzka pod stopami wydała mu się gorąca. Był sam. Najpierw podszedł do balustrady i spojrzął z zapartym tchem na bezkresne, gigantyczne miasto rozciągające się prawie dwa tysiące stóp niżej. Nasłuchując, odniósł wrażenie, że z ulic w dole dochodzą go słabe dźwięki fletów, i zapragnął nagle ujrzeć mieszkańców owej metropolii. Od patrzenia w dół zakreśliło mu się nagle w głowie i zapewne upadłby na chodnik, gdyby instynktownie nie uchwycił się bogato zdobionej balustrady. Prawą dłoń oparł na jednej z figurek, jej dotyk nieznacznie dodał mu sił. Było to jednak zbyt wiele dla egzotycznej delikatności rzeźby i niewielka, przypominająca rozgwiazdę figurka ułamała się pod naporem jego palców. Wciąż na pół oszołomiony ścisnął ją w jednej dłoni, podczas gdy drugą zacisnął kurczowo na pozbawionym ozdób fragmencie balustrady.

Naraz jego wyczulone uszy usłyszały jakiś dźwięk dochodzący z tyłu, zza niego, i Gilman obejrzał się przez ramię. W jego kierunku zmierzało zdecydowanym krokiem pięć postaci, wśród których znalazła się też złowroga starucha i małe, kosmate stworzenie o długich kłach. Widok trzech pozostałych pozbawił go natychmiast przytomności, były to bowiem żywe istoty wzrostu około ośmiu stóp, wyglądające identycznie jak ich miniatury zdobiące balustradę, poruszające się na podobieństwo pajęczaków na rozstawionych szeroko, zwężających się jak u rozgwiazdy odnóżach.

Gilman obudził się w łóżku, zlany zimnym potem, z obolałą twarzą, dłońmi i stopami. Wstał, umył się i ubrał pospiesznie, jakby musiał jak najszybciej wyjść z tego przeraźliwego domu. Nie wiedział, dokąd chce się udać, ale czuł, że i tym razem przyjdzie mu opuścić zajęcia. Dziwny impuls, przyciągający go ku miejscu na niebie pomiędzy Hydrą i Argo osłabł, lecz jego miejsce zajął inny, jeszcze silniejszy. Czuł teraz, że musi podążać na północ, tylko i wyłącznie na północ. Lękał się przejść przez most, skąd mógłby ujrzeć bezludną wyspę na Miskatonic, wybrał więc most przy Peabody Avenue.

Po godzinie poczuł się lepiej. Odzyskał rezon. Znajdował się w sporej odległości od miasta. Wokół niego rozciągały się połacie słonych moczarów, podczas gdy wąska droga na wprost niego wiodła do Innsmouth, owego prastarego, na wpół opuszczonego miasta, którego mieszkańcy Arkham w szczególny sposób unikali. Choć pragnienie udania się na północ ani trochę w nim nie osłabło, oparł mu się, tak jak wcześniej poprzedniemu impulsowi, i w końcu stwierdził, że jest w stanie je sobie nawzajem przeciwstawić. Po powrocie do miasta i wypiciu kawy w kafejce powlókł się do biblioteki publicznej i dłuższy czas spędził na przeglądaniu popularnych czasopism. Spotkani później przyjaciele zapytali go, gdzie się tak strasznie spiekł, lecz nie opowiedział im o swojej niezwykłej przechadzce. O trzeciej zjadł obiad w restauracji, gdzie stwierdził, że dręczący go impuls stracił na sile

lub uległ rozproszeniu. Następnie Gilman zabił trochę czasu w tanim kinie, oglądając po kilka razy ten sam głupi film, aż w końcu przestał zwracać uwagę na to, co działo się na ekranie.

Około dziewiętej dotarł do domu i wszedł do środka. Joe Mazurewicz wciąż głośno się modlił, więc Gilman, nie zaglądając do pokoju Elwooda, czym prędzej udał się do siebie, na górę. Kiedy zapalił światło, doznał prawdziwego wstrząsu. W okamgnieniu zorientował się, że na stole leżało coś, czego tam wcześniej nie było. Powtórne spojrzenie upewniło go w tym zorientowaniu. Na boku - bo sama stać nie mogła - leżała egzotyczna figurka, którą w upiornym śnie odłamał z fantastycznej balustrady. Nie brakowało żadnego szczegółu. Prażkowany, baryłkowany środek, cienkie, promieniste ramiona, wypustki na obu końcach i płaskie, zakrzywiające się na zewnątrz macki, jak u rozgwiazdy - było tu wszystko. W świetle elektrycznej lampy figurka miała barwę opalizującej szarości upstrzonej zielonymi żyłkami. Gilman zdezorientowany i przerażony ujrzał, że jedna z wypustek miała postrzępiony, ułamany koniec, który wcześniej przymocowany był do balustrady.

Tylko otępienie i oszołomienie uchroniły go wtedy przed wrzaśnięciem. Ta fuzja snu i rzeczywistości była nie do zniesienia. Wciąż odrętwiały ze zgrozy, ściskając w dłoni promienistą figurkę, zszedł chwiejnym krokiem na dół, do mieszkania właściciela domu, Dombrowskiego. Zawodzące modlitwy pobożnego mechanika wciąż rozlegały się donośnie wśród cuchnących pleśnią i wilgocią korytarzy, ale teraz Gilman nie zwracał na nie uwagi. Właściciel był akurat w mieszkaniu i powitał go przyjaźnie. Nie, nie widział wcześniej tej rzeczy i nic o niej nie potrafił powiedzieć. Jego żona wyznała jednak, że znalazła tę zabawną metalową rzecz w jednym z łóżek, sprząając w południe pokoje. Może to było właśnie to. Dombrowski zawołał ją i weszła do pokoju. Tak, to ta figurka, znalazła ją w łóżku tego młodego dżentelmena, z boku, przy ścianie. Wydała się jej bardzo dziwna, ale, rzecz jasna, młody dżentelmen miał u siebie mnóstwo osobliwych rzeczy - książki, unikaty, rysunki i znaki na papierze. Nie wiedziała nic o figurce. Gilman z mętlikiem w głowie wrócił do siebie, przekonany, że albo wciąż śnił, albo jego somnambulizm osiągnął niewiarygodne ekstreum i doprowadził go do składania wizyt w nieznanym i niezbadanym mieście. Skąd wzięła się ta figurka? Nie pamiętał, by widział ją w muzeum w Arkham. A jednak skądś musiała się wziąć - wizja zaś, jakoby zdobył ją we śnie, musiała zostać wywołana obrazem tarasu i gigantycznej balustrady. Następnego dnia popyta dyskretnie tu i ówdzie - i być może odwiedzi również psychiatrę.

Póki co zamierzał sprawdzić trasę swych lunatycznych spacerów. Idąc na piętro i w korytarzu poddasza rozsypał trochę mąki pożyczonej w tym właśnie celu od właściciela domu. Po drodze zatrzymał się przed drzwiami pokoju Elwooda, wewnątrz było jednak ciemno. Po wejściu do swojego mieszkania położył promienistą figurkę na stole i nie rozbierając się, kompletnie wyczerpany runął na łóżko. Wydawało mu się, że słyszy płynące z zamkniętego na glucho stryszku odgłosy kroków i szuranie, lecz był zbyt zmęczony, by zastanowić się nad tym choć przez chwilę. Znowu czuł narastające pragnienie wyruszenia w kierunku północnym, choć zdawało się ono płynąć z punktu umiejscowionego niżej na nieboskłonie.

Stara kobieta i kosmate stworzenie o długich kłach znowu się pojawili, w potokach fioletowego światła i znacznie wyraźniej niż poprzednio. Tym razem byli tuż przy nim i poczuł zakrzywione palce staruchy sięgające w jego stronę. Został zwleczony z łóżka i ci śnięty w pustkę, przez chwilę słyszał rytmiczny ryk i ujrzał zalaną blaskiem zmierzchu amorficzną mglistość otchłani wirującej opętańczo dokoła. Chwila ta trwała jednak krótko, nagle bowiem znalazł się w topornym, pozbawionym okien małym pomieszczeniu z nie heblowanych desek i belek sklepiającym się trójkątnie nad jego głową, pod stopami zaś miał pochyłą podłogę. Na równym odcinku podłogi stały kufry pełne książek, starych i w dużym stopniu zniszczonych, pośrodku zaś znajdował się stół i ława, najwyraźniej przymocowane w tym miejscu na stałe. Niewielkie przedmioty nieznanego kształtu i przeznaczenia stały rzędem na wiekach skrzyń, a w płomiennym, fioletowym świetle Gilman ujrzał w nich kopie promienistych figurek, które tak silnie go zdominowały. Po lewej stronie podłoga kończyła się gwałtownie, za krawędzią zaś ziała trójkątna, mroczna otchłań, z której po chwili upiornego szurania i grzechotu wygramoliła się nagle ta nienawistna, kosmata istota o żółtych zębiskach i brodatym obliczu.

Uśmiechająca się złowieszczo starucha wciąż go trzymała, za stołem zaś stała postać, której nigdy wcześniej nie widział - wysoki, szczupły mężczyzna o czarnej cerze, lecz bynajmniej nie wyglądający na Murzyna. Nie miał zarostu ani włosów na czaszce, a jego jedynym odzieniem była bezkształtna szata z jakiegoś grubego, czarnego materiału. Stóp nie było widać, stał bowiem za stołem i ławą, niemniej musiał nosić jakieś buty, gdyż kiedy zmieniał pozycję, słychać było głośne tupanie. Mężczyzna milczał, a jego twarz o regularnych, łagodnych rysach nie wyrażała żadnych emocji. Wskazał jedynie na ogromną księgę leżącą na stole, podczas gdy starucha wcisnęła Gilmanowi w prawą dłoń wielkie szare pióro.

Całej tej ceremonii towarzyszyła atmosfera narastającej grozy i szaleństwa, której szczyt nastąpił z chwilą, gdy kosmate stworzenie wspięło się po ubraniu Gilmana na jego ramię i zbiegłszy po lewym ręką, wgrzyzło mu się w nadgarstek, tuż poniżej mankietu koszuli. Z rany trysnęła krew, a Gilman zemdłał.

Obudził się rankiem dwudziestego drugiego z obolałym lewym przegubem i ujrzał, że mankiet koszuli jest cały brązowy od krwi. W głowie miał mętlik, lecz pamiętał wyraźnie obce pomieszczenie i Czarnego Mężczyznę. Najwyraźniej gdy spał, musiał zostać ugryziony przez szczura. Otworzył drzwi, stwierdził, że w rozsypanej na korytarzu mące widniały jedynie ślady gburowatego mężczyzny, mieszkającego w pokoju po przeciwnej stronie poddasza. A więc tym razem nie lunatykował. Trzeba było jednak zrobić coś z tymi szczurami. Pomówi o nich z właścicielem domu. Raz jeszcze próbował zabić dziurę w podstawie spadzistej ściany, wkładając w nią odpowiedniej wielkości świecę. Potwornie dźwięczało mu w uszach, jakby wciąż słyszał echa jakiegoś okropnego hałasu ze snów.

Wykapawszy się i przebrawszy, usiłował przypomnieć sobie, o czym śnił po owej scenie w skąpanym fioletowym

blaskiem pomieszczeniu, lecz nic konkretnego nie przychodziło mu do głowy. Scena ta musiała mieć coś wspólnego z zamkniętym stryszkciem powyżej, który tak gwałtownie atakował jego wyobraźnię, lecz ostatnie wizje były słabe, niewyraźne i mgliste. Pojawiły się sugestie skąpanych blaskiem zmierzchu otchłani i jeszcze rozległej szych, mrocznych głębi za nimi, głębi, których nawet nie sposób było sobie wyobrazić, gdyż wymykały się naszym zdolnościom pojmowania. Był tam zabierany przez grono bąbli i mały polihedron, które podążały za lub przed nim, lecz podobnie jak on w owej dalszej pustce nieskończonej czerni zmieniały się w smużki białawej mgiełki. Było przed nim coś jeszcze - większa smuga dymu lub mgły, która obecnie zaczęła przybierać pewne pozory formy. Odniósł przy tym wrażenie, że oni wszyscy nie poruszali się po linii prostej, lecz raczej po jakichś obcych krzywiznach i spiralach niepojętego, eterycznego wiru podległego prawom nie znanym matematyce i fizyce jakiegokolwiek zrozumiętego dla ludzkości wszechświata. Na koniec pojawiła się jeszcze zapowiedź ogromnych, śmigających cieni, monstrualnego, na wpół akustycznego pulsowania i monotonnego, świszczącego popiskiwania niewidzialnego fletu, i to było już wszystko. Gilman uznał, że ostatnia wizja musiała zostać wywołana tym, co wyczytał w Necronomiconie na temat bezmyślnej istoty zwanej Azathoth, władającej czasem i przestrzenią ze swego czarnego tronu w samym sercu Chaosu.

Po zmyciu krwi okazało się, że rana nadgarstka jest niewielka, a Gilman zastanawiał się nad przyczyną powstania w tym miejscu dwóch maleńkich nakłuć. Zorientował się, że na pościeli nie było śladu krwi, i wydało mu się to dziwne, zważywszy na wygląd jego ręki i mankietu. Czyżby lunatykował i szczur ukąsił go, kiedy siedział na krześle albo gdzie indziej? Przepatrzył wszystkie kąty w poszukiwaniu brązowych plam lub śladów kropeł - bezskutecznie. Postanowił odtąd rozsypywać mąkę zarówno w mieszkaniu, jak i na korytarzu na zewnątrz. Wiedział, że spacerował we śnie, i musiał teraz położyć temu kres. Potrzebował pomocy Franka Elwooda. Musiał go o nią poprosić. Tego ranka dziwny impuls z kosmosu nieco zelżał, choć zastąpiła go inna, bardziej jeszcze nie wyjaśniona sensacja. Było nią niejasne pragnienie natychmiastowego wyrwania się z obecnej sytuacji, porzucenie jej, ulecenie gdzieś w dal, choć bez skonkretyzowania kierunku ani celu. Kiedy podniósł ze stołu ową dziwną, promienistą figurkę, miał wrażenie, że powrócił ten stary impuls pchający go ku północy, lecz już wkrótce nowe, nieprzeparte pragnienie wzięło nad nim górę.

Zaniósł statuetkę do pokoju Elwooda, z trudem znosząc modlitewne zawrodożenie mechanika z parteru. Dzięki Bogu, Elwood był u siebie i już nie spał. Mieli chwilę na krótką rozmowę przed śniadaniem i pójściem do college'u. Gilman pospiesznie opowiedział przyjacielowi o swych ostatnich lękach i koszmarach. Jego rozmówca okazał się człowiekiem wyrozumiałym i stwierdził, że trzeba coś z tym począć. Był wstrząśnięty fatalnym wyglądem wychudłego i zmizerowanego gościa, zwrócił również uwagę na dziwne, nienormalne oparzenia, jakby od słońca, które zauważyli także inni. Niewiele mógł jednak powiedzieć. Nie widział Gilmana podczas żadnej z jego lunatycznych przechadzek i nie miał pojęcia, co przedstawiała dziwna figurka. Wydawało mu się, że któregoś wieczoru słyszał, jak mieszkający piętro niżej pod Gilmanem Cajun rozmawia z Mazurewiczem. Mówili, jak bardzo lękają się nadchodzącej Nocy Walpurgii, do której zostało już tylko kilka dni, i wymieniali pełne współczucia komentarze na temat „biednego, zgubionego, młodego dżentelmena”. Desrochers, człowiek mieszkający pod pokojem Gilmana, opowiadał o odgłosach kroków, zarówno bosych, jak i obutych stóp, i fioletowym świetle, które ujrzał pewnej nocy, gdy zakradł się cichaczem, by przez dziurkę od klucza zajrzeć na poddasze do Waltera. Jak wyznał Mazurewiczowi, nie odważył się uchylić drzwi po tym, jak ujrzał przez zięjące szpary bijący z nich blask. Słychać było również cichą rozmowę... a kiedy zaczął ją opisywać, jego głos zmienił się w konspiracyjny szept.

Elwood nie potrafił wyobrazić sobie, co skłoniło tych porządných ludzi do plotek, lecz jak przypuszczał, ich wyobraźnię rozbudziły z jednej strony osobliwe zachowanie Gilmana, z drugiej zaś zbliżająca się milowymi krokami majowa noc czarów i strachów. O tym, że Gilman mówi przez sen, wiedzieli wszyscy, plotki zaś o fioletowym świetle zaczęły zapewne rozsiewać Desrochers po swej wizycie pod drzwiami pokoju na poddaszu. Ci prości ludzie byli skłonni uwierzyć w każde dziwne zjawisko, o którym tylko usłyszeli. Co się tyczyło planu działania, Gilman miał przeprowadzić się do pokoju Elwooda, by nie sypiać samotnie. Jeżeli Elwood nie będzie akurat spał i usłyszy, że Gilman mówi przez sen lub spostrzeże go wstającego, miał go natychmiast obudzić. Poza tym Walter powinien niezwłocznie udać się do specjalisty. Tymczasem Gilman i Elwood zamierzali zabrać figurkę i pokazać ją pewnym naukowcom, specjalistom z dziedziny archeologii, oraz w kilku muzeach, szukając u nich potwierdzenia, iż był to zwykły metalowy szmelt bez jakiegokolwiek wartości. Dombrowski zaś miał zająć się wytrućciem gnieźdzących się w ścianach szczurów. Pokrzepiony obecnością Elwooda, Gilman udał się tego dnia na wykłady. Wciąż czuł dziwne impulsy, lecz skutecznie zdołał się im przeciwstawić. Podczas przerw pokazał osobliwą statuetkę kilku profesorom, wzbudzając ich głębokie zainteresowanie, żaden jednak nie potrafił rzucić światła na jej naturę czy pochodzenie. Tej nocy spał na kozetce, którą na prośbę Elwooda przyniósł z piętka gospodarz domu, i po raz pierwszy od wielu tygodni nie dręczyły go kosmary. Wciąż jednak miał gorączkę, a zawodzący głos modlącego się mechanika nie przynosił ukojenia.

W ciągu kilku kolejnych dni Gilman był niemal całkowicie wolny od upiorných manifestacji. Elwood stwierdził, że jego kolega nie mówił ani nie wstawał we śnie, właściciel domu zaś wyłożył wszędzie trutkę na szczury. Jedynym niepokojącym elementem były plotki krążące wśród przesądnych cudzoziemców, których urojenia stały się wyjątkowo wyraziste. Mazurewicz nakłaniał go do zaopatrzenia się w krucyfiks i w końcu zmusił do przyjęcia krzyża, poświęconego, jak sam powiedział, przez prawego księdza, ojca Iwanickiego. Desrochers również miał swoje do powiedzenia, uparł się, że pierwszej i drugiej nocy, po tym jak Gilman wyprowadził się z pokoju, słyszał dochodzące stamtąd ciche kroki. Paulowi Choińskiemu wydawało się, że słyszał jakieś odgłosy płynące z korytarza i od strony schodów i że ktoś w nocy poruszał klamką u drzwi wejściowych do jego mieszkania. Pani Dombrowski zarzekała się, że po raz pierwszy od wigilii Wszystkich Świętych widziała Brązowego Jenkina. Te doniesienia nie znaczyły jednak wiele i Gilman pozostawił tani metalowy krucyfik zawieszony na gałce komódki w mieszkaniu Elwooda. Przez trzy dni Gilman i Elwood odwiedzali miejscowe muzea, usiłując określić rodzaj dziwnej promienistej statuetki, bez powodzenia jednak. W każdym wszelako przypadku wzbudzali nią ogromne

zaciekawienie u swych rozmówców, jej absolutna obcość bowiem stanowiła nie lada wyzwanie dla ciekawości naukowców. Jedno z małych ramion zostało ułamane i poddane analizie chemicznej. Profesor Ellery stwierdził, że był to stop platyny, żelaza i tellurium zmieszany z trzema jeszcze innymi składnikami o wyższej wadze atomowej, których składu chemicznego nie jest jednak w stanie określić. Nie tylko nie przypominały one żadnych znanych ludzkości pierwiastków, lecz nawet nie pasowały do luk zarezerwowanych dla potencjalnych „brakujących ogniwi” układu okresowego. Tajemnica po dziś dzień pozostaje nie rozwiązana, choć statuetka znajduje się wśród eksponatów muzeum uniwersytetu Miskatonic.

Rankiem, dwudziestego siódmego kwietnia, w pokoju, gdzie gościł Gilman, pojawiła się nowa szcurza nora, lecz Dombrowski natychmiast zabił ją kawałkiem blachy. Trutka nie skutkowała, gdyż. wciąż słychać było dochodzące ze ścian skrobanie.

Tego wieczoru Elwood miał wrócić późno. Gilman czekał na niego. Nie chciał zasypiać samotnie w tym pokoju, zwłaszcza że wieczorem, a ściślej mówiąc o zmierzchu, ujrzał tę samą odrażającą staruchę, która w tak upiorny sposób nawiedzała go w snach. Zastanawiał się, kim była i co jej towarzyszyło, grzechocząc blaszaną puszką wśród sterty śmieci u wylotu niewielkiego podwórka. Starucha najwyraźniej go dostrzegła, gdyż wyszczerzyła się w złowrogim uśmiechu, a może tylko tak mu się wydawało.

Następnego dnia obaj młodzieńcy byli straszliwie zmęczeni i wiedzieli, że gdy nadejdzie noc, usną jak zabici. Wieczorem długo dyskutowali o matematyce, która pochłonęła Gilmana bez reszty, nawiązując do mrocznej, potencjalnie możliwej więzi między pradawną magią a ludowym folklorem. Rozmawiali o Keziah Mason, a Elwood zgodził się, że Gilman miał ważne powody, by sądzić, iż natknął się na pewną osobliwość, lecz znaczącą informację. Tajemne sekty, do których należały czarownice, strzegły częstokroć i przekazywały z pokolenia na pokolenie zdumiewające sekrety zamierzchłej, dawno zapomnianej przeszłości. Było całkiem możliwe, że Keziah zdołała po mistrzowsku opanować sztukę przechodzenia przez bramy wymiarów. Tradycja mówi wyraźnie o niemożności zatrzymania wiedzy w zamknięciu, a skoro bariery materialne nie stanowiły dla nich przeszkód, któż wie, co naprawdę skrywały w sobie opowieści o nocnych lotach czarownic na miotłach i ożogach?

Wkrótce się okaże, czy współczesny student miał szansę zyskać podobną moc dzięki zgłębieniu prawideł matematycznych. Sukces, dodał Gilman, mógł prowadzić do niebezpiecznych i niewyobrażalnych sytuacji, któż bowiem zdoła przewidzieć warunki panujące w bliskim nam, lecz normalnie niedostępnym wymiarze? Z drugiej strony, możliwości, jakie się dzięki temu zyskiwało, były wręcz powalające. W pewnych pasmach przestrzeni czas mógł w ogóle nie istnieć i wchodząc oraz pozostając w takim obszarze, człowiek był w stanie przedłużać swoje życie w nieskończoność, nie doświadczając przemian metabolicznych w organizmie ani chorób, z wyjątkiem okresu, kiedy odwiedzał swój własny plan lub płaszczysty zbliżony doń pod względem warunków. Dzięki temu badacz mógł wejść w pozbawiony czasu wymiar i wyłonić się zeń w jakimś odległym okresie z ziemskiej historii równie młody jak poprzednio. Trudno było powiedzieć na pewno, czy kiedykolwiek komuś się to udało. Stare legendy są pełne niejasności i przekłamań, a w znanym ludzkości okresie historii wszelkie próby wnikięcia w którąś z zakazanych luk wydają się utrudniane przez dziwne i potworne sojusze z istotami oraz posłańcami z zewnątrz.

Istniała odwieczna postać przedstawiciela lub wysłannika sekretnych i przerażających mocy - „Czarny Człowiek” znany wśród czarownic i „Nyarlahotep” z „Necronomiconu”. Istniały także przekazy o pomniejszych pośrednikach lub umyślnych, quasi-zwierzątkach i osobliwych hybrydach noszących w podaniach miana „chowańców”, czyli „familiarów” wiedźm. Kiedy Gilman i Elwood udali się na spoczynek, zbyt zmęczeni, by mogli dłużej rozmawiać, usłyszeli, jak Joe Mazurewicz, pod dobrą datą wraca do domu, i zadygotali, słysząc jego donośne, pełne religijnej żarliwości zawodzenia. Tej nocy Gilman znów ujrzał fioletowe światło. We śnie usłyszał, jak coś skrobie i przegryza przepierzenie, a później wydawało mu się, że ktoś niezdarnie gmera przy kłamce. Zaraz potem ujrzał starą kobietę, a po wyłożonej dywanem podłodze podbiegło ku niemu małe, kosmate stworzenie. Oblicze staruchy przepełnił wyraz nieludzkiego uniesienia, a mały żółtozęby kudłaty stworek zachichotał drwiąco, wskazując na śpiącego jak kamień Elwooda na kanapie pod przeciwległą ścianą pokoju. Przerazający lęk ścisnął mu gardło. Jak poprzednio, odrażająca starucha schwyciła Gilmana za ramiona i zwlókłszy z kozetki, porwała go w otchłań. Również tym razem po obu jego stronach śmigwały nieskończone, przepelnione rykiem przestrzenie, lecz w sekundę później Gilman odniósł wrażenie, że znajduje się w ciemnej, błotnistej alejce wypełnionej nieprzyjemnym fetorem gnijących ścian pradawnych domów, które wznosiły się dokoła.

Przed nim stał czarno odziany mężczyzna, którego ujrzał w poprzednim śnie w spiczasto sklepionym pomieszczeniu, podczas gdy stojąca bliżej starucha kiwała nań i wykrzykiwała się władczo. Brązowy Jenkin łąsił się do stóp Czarnego Mężczyzny, ukrytych pod grubą warstwą lepkiego blocka. Po prawej stronie znajdowało się mroczne przejście; Czarny Mężczyzna wskazał je bezgłośnie. Uśmiechnięta starucha pospieszyła w tę stronę, ciągnąc Gilmana za rękaw piżamy. Dotarli do skrzypiących złowrogo i okropnie cuchnących schodów, które starucha zdawała się skąpać falą słabego, fioletowego światła, a po nich do podestu i znajdujących się na nim drzwi. Starucha gmerała przez chwilę przy kłamce i pchnięciem otworzyła drzwi, dając Gilmanowi znak, by zaczekał, po czym znikła w mrocznym wnętrzu.

Przeczulone uszy młodzieńca wychwyciły odrażający, zdławiony krzyk i zaraz potem starucha wyłoniła się z czarnego pomieszczenia, dźwigając małe i pozbawione zmysłów ciało, które bezceremonialnie podała śniącemu, jakby chciała, by je poniósł. Jego wzrok i widok jego twarzyczki przełamały czar. Wciąż zbyt oszołomiony, by krzyczeć, zbiegł na łeb na szyję po skrzypiących schodach i wybiegł na ulicę. Zatrzymał go dopiero i unieruchomił duszącym chwytem Czarny Mężczyzna, czekający przed domem. Tracąc przytomność, usłyszał jeszcze słaby, piskliwy chichot długozębego, podobnego do szcztura stworka.

Rankiem, dwudziestego dziewiątego, Gilman obudził się na krawędzi koszmaru. Z chwilą gdy tylko otworzył oczy, zorientował się, że coś było nie tak, znajdował się bowiem znów w swoim starym pokoju na poddaszu, leżąc na nie posłanym łóżku. Nie wiadomo czemu, bolało go gardło, a gdy podniósł się do pozycji siedzącej, ujrzał, że stopy i nogawki piżamy pokryte ma zaschniętym błotem. Przez chwilę błądził wśród mglistych wspomnień, lecz w końcu stwierdził, że najwyraźniej znów lunatykował. Elwood zasnął zbyt głęboko, by mógł go usłyszeć i obudzić. Na podłodze widniały zagadkowe błotniste ślady, lecz co dziwne, nie prowadziły one ku drzwiom. Im dłużej Gilman się im przyglądał, tym wydawały mu się one dziwniejsze, prócz śladów bowiem, które rozpoznawał jako swoje, dostrzegł inne, mniejsze, prawie okrągłe znaki, jakie mogły pozostawić nogi sporego fotela lub stołu, większość z nich jednak była rozdwojona. Dostrzegł również osobliwe błotniste ślady szczura wiodące od strony nowej dziury i ku niej. Gilman poczuł ogarniający go lęk i zdumienie, gdy zbliżywszy się do drzwi i wyjrzawszy na zewnątrz, nie ujrzał na korytarzu żadnych brunatnych śladów. Im bardziej przypominał sobie upiorny sen, tym bardziej był przerażony, a wrażenie desperacji pogłębiło jeszcze religijne zawrodoenie modlącego się dwa piętra niżej Mazurewicza.

Po zejściu do pokoju Elwoodaobudziłswego śpiącego jeszcze gospodarza, informując go pokrótce, w jakiej sytuacji się znalazł, lecz przyjaciel nie był w stanie wyjaśnić mu, co się stało. Nie sposób stwierdzić, gdzie właściwie przebywał Gilman, jak wrócił do swego pokoju, nie pozostawiając śladów w korytarzu, ani też skąd wzięły się na poddaszu mieszkania te dziwne, nie pozostawione przez niego, brudnobrazowe znaki. Były jeszcze sińce na jego szyi, podbiegnięte krwawo, prawie fioletowe, jak gdyby Gilman próbował sam siebie udusić. Dotknął ich palcami, lecz stwierdził, że odciski nie pasują do jego dłoni. Gdy tak rozmawiali, zjawił się Desrochers, by powiedzieć, że nad ranem podsłuchał coś bardzo zagadkowego i przerażającego zarazem. Nie, po północy nikt nie kręcił się po schodach, choć wydawało mu się, że słyszał czyjeś kroki na poddaszu i ukradkowe stąpanie na schodach, które bynajmniej mu się nie spodobało. Dodał, że dla Arkham nadszedł wyjątkowo zły okres w roku. Lepiej, by młody dżentelmen nie rozstawał się z krucyfiksem otrzymanym od Joe Mazurewicza. Nawet za dnia nie było bezpiecznie, po świecie bowiem w domu rozlegały się dziwne odgłosy... zwłaszcza piskliwy, dziecięcy szloch, który urwał się jak ucięty nożem.

Gilman udał się rano na zajęcia, lecz w ogóle nie potrafił się skupić na treści wykładów. Ogarnął go nastrój mrozącego krew w żyłach niepokoju, jakby oczekiwał w każdej chwili nadejścia miażdżącego, niszczycielskiego ciosu. W południe zjadł obiad w stołówce na uczelni i czekając na deser, sięgnął po leżącą obok gazetę. Nie zjadł go jednak, gdyż informacja z pierwszej strony sprawiła, że wstrząśnięty, zlany zimnym potem i z wybałuszonymi oczami mógł jedynie zapłacić rachunek i poczłapać niepewnie do domu i do pokoju Elwooda.

Poprzedniej nocy w Orne's Gangway doszło do dziwnego porwania. W niejasnych okolicznościach znikło bez śladu dwuletnie dziecko młodej praczki nazwiskiem Anastazja Wołejko. Jak się wydaje, matka już od pewnego czasu obawiała się o jego los, jednakże powody jej lęków uznano za tak irracjonalne, że nikt nie traktował ich poważnie. Stwierdziła, że od początku marca widywała w swoim mieszkaniu Brązowego Jenkina, a po jego grymasach i bełkotliwej mowie zorientowała się, że mały Ladislas ma być złożony na ofiarę podczas krwawego sabatu w Noc Walpurgii. Poprosiła sąsiadkę, Mary Czaneek, by spała u niej i pomogła jej chronić dziecko, lecz Mary nie miała dość odwagi. Policji nie odważyła się powiadomić, gdyż stróże prawa nie wierzyli w przesady. Odkąd sięgała pamięcią, każdego roku dzieci ginęły bez śladu. Jej przyjaciel, Piotr Słowacki, odmówił pomocy, gdyż nie lubił małego i uważał go za przeszkodę w ich związku.

Jednakże zimny pot na czole Gilmana wycisnęła opowieść dwóch birbantów, którzy wracali do domu dobrze po północy. Przyznali, że byli pod dobrą datą, lecz obaj zapewniali, że widzieli obłądnie ubrane trio wchodzące w głąb mrocznego przejścia. Był tam, jak wyznali, ogromny czarnoskóry mężczyzna w powłóczyściej szacie, niska stara kobieta odziana w łachmany i młody biały chłopak w piżamie. Starucha ciągnęła młodzieńca, podczas gdy u stóp czarnoskórego w brązowym bloku śmigał udomowiony szczur.

Gilman przesiedział w otępieniu całe popołudnie, a Elwood, który tymczasem przejrzał gazety i przeczytał artykuł, zdołał wysnuć zeń szokujące wnioski - zastał go w takim właśnie stuporze. Tym razem nie wątpił już, że wokół działo się coś upiornego i poważnego zarazem. Pomiędzy wizjami koszmarnego snu i jawy zaczynała krystalizować się jakaś potworna i niewyobrażalna więź i tylko wyteżona czujność mogła zapobiec znacznie potworniejszemu rozwojowi wypadków. Gilman prędzej czy później musiał skonsultować się z lekarzem, ale jeszcze nie teraz, gdy wszystkie gazety rozpisywały się wyłącznie o porwaniu.

To, co wydarzyło się naprawdę, było niejasne i przyprawiające o obłąd, przez dłuższą chwilę Gilman i Elwood wymieniali szeptem najbardziej nieprawdopodobne teorie. Czyżby całkiem nieświadomie Gilman odniósł sukces w swych studiach nad przestrzenią i jej wymiarami? Czyżby zdołał wydestać się poza naszą sferę i dotarł do niewyobrażalnych, nieznanych i niepojętych miejsc? Gdzie był przez szereg tych mrocznych, diabelskich nocy? Ryczące otchłanie wypełnione poświatą zmierzchu... zielone wzgórze... podniebny taras... impuls płynący od gwiazd... ostateczny, czarny wir... Czarny Mężczyzna... błotnista alejka i schody... stara wiedźma i kosmaty potworek o długich kłach... grono bąbli i mały wielościan... dziwne oparzenie słoneczne... rana na nadgarstku... nie wyjaśniona wizja... ubłocone stopy... ślady na szyi... legendy, mity i przesady cudzoziemców... co miało znaczyć to wszystko?

Tej nocy obaj nie zmrużyli oka, lecz następnego dnia opuścili zajęcia i zdrzemnęli się. Był trzydziesty kwiecień, a zmierzchu zaś miał nadejść czas diabelskiego sabatu, którego lękali się wszyscy cudzoziemcy i ludzie przesądni. Mazurewicz wrócił do domu o szóstej trzydzieści, twierdząc, że robotnicy w fabryce plotkowali, jakoby uroczystości Nocy Walpurgii miały odbyć się w mrocznym parowiec na Meadow Hill, gdzie w miejscu pozbawionym wszelkiej roślinności stoi krąg z pradawnych białych kamieni. Niektórzy nawet powiadomili o tym policję,

polecając, by tam właśnie poszukiwano zaginionego dziecka Wołejki, lecz żaden z nich nie wierzył, by cokolwiek w tej sprawie poczyniono. Joe upierał się, by nieszczęsny młodzian założył na szyję łańcuszek z krzyżykiem, Gilman zaś, dla świętego spokoju, zrobił to i wsunął niklowany krucyfiks pod koszulę.

Późną nocą dwaj młodzieńcy usiedli na krzesłach i zapadli w drzemkę, ukołysani do snu płynącym z dołu modlitewnym zaśpiewem. Gilman wychwytywał te dźwięki bez trudu; jego pierwotnie wyostrzony słuch miał przede wszystkim wyłapywać znacznie subtelniejsze, przeraźliwe mamrotanie zagłuszone innymi dźwiękami rozlegającymi się w starym domu. Przypomniał sobie fragment mrocznego, przerażającego „Necronomiconu” i Czarnej Księgi i nagle zorientował się, że kołysze się w takt bluźnierczych rytmów towarzyszących, jak powiadają, najmroczniejszym rytuałom sabatu, biorących swój początek poza znanymi nam czasem i przestrzenią.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, czego nasłuchiwał - diabelskiej pieśni intonowanej przez uczestnika sabatu w odległej, czarnej dolinie. Skąd tyle wiedział o ich oczekiwaniach? Skąd wiedział, kiedy Nahab i jej akolita mieli przynieść wielką misę, a następnie czarnego koguta i czarnego kozła? Zauważył, że Elwood usnął, i próbował zawołać, aby go obudzić. Coś wszelako sprawiło, że głos uwiązał mu w gardle. Nie panował nad sobą. Czy jednak złożył podpis w księdze Czarnego Mężczyzny?

Wtem jego wyostrzony gorączką, nieludzki słuch wychwycił odległe, niesione wiatrem dźwięki. Napływały z odległości wielu mil, ponad wzgórzem, polem i ulicami, lecz rozpoznał je bez trudu. Przy ognisku tancerze rozpoczęli swe płąsy. Jak mógł tam nie pójść? Co go powstrzymywało? Matematyka... folklor... dom... stara Keziah... Brązowy Jenkin... i nagle dostrzegł nową szczurzą norę w ścianie opodal kozetki. Poprzez odległy śpiew i zawrodozenie Mazurewiczka przebił się inny dźwięk, ukradkowe skrobanie w ścianach. Miał nadzieję, że nie zgaśnie światło. I wtedy dostrzegł przekłętą brodatą, drobne, ozdobione długimi zębiskami oblicze wyłaniające się z otworu - przekłętą twarz, która, jak sobie dopiero teraz uświadomił, była uderzająco podobna do starej Keziah, a potem usłyszał szelest, jakby ktoś manipulował przy drzwiach.

Błysnęły przed nim bezkresne, wyjące otchłanie i poczuł się nagle bezradny w bezkształtnym uścisku opalizującego grona bąbli. Przed nim podążał niewielki, kalejdoskopowy wielościan, a całą wirującą pustkę przenikało narastające i przyspieszające tempa niejasne jeszcze brzmienie, które zdawało się zwiastować jakieś niewypowiedziane, niemożliwe do zniesienia crescendo. Chyba wiedział już, co się zbliżało - monstrialna fala rytmu Walpurgii, w której kosmicznym tembrze miało zawierać się całe pierwotne, ostateczne czasoprzestrzenne wrzenie skrywające się za masami sfer materii, a niekiedy wyrwijące się stamtąd rytmicznymi odbiciami przenikającymi z niezbyt wielką siłą wszystkie warstwy bytów i nadające upiornego znaczenia pewnym szczególnie posępnym okresom, we wszystkich istniejących światach.

To wszystko znikło w jednej sekundzie. Znowu znajdował się w skąpanym fioletową poświatą pomieszczeniu o trójkątnym sklepieniu, spadzistej podłodze, niskimi kuframi pełnymi prastarych ksiąg, ławą i stołem, dziwnymi obiektami i trójkątną otchłanią z boku przy ścianie. Na stole leżała postać, mały chłopiec, rozebrany i nieprzytomny, po drugiej stronie stała monstrialnie wyszczerzona starucha z Iśniącym, ozdobionym groteskową rękojeścią nożem w prawej ręce, w lewej zaś z dziwnie proporcjonalną misą z jasnego metalu pokrytą osobliwymi wizerunkami i zaopatrzoną w delikatne, cyzelowane uchwyty. Zaintonowała ochryplym głosem zapomnianą z dawien dawna inkantację w języku, którego Gilman nie rozumiał, lecz odniósł wrażenie, iż fragmenty jej odnalazł ongiś w budzącym grozę „Necronomiconie”.

W miarę jak scena nabierała przejrzystości, ujrzał, jak starucha nachyla się i przenosi misę nad stołem, a on, nie mogąc zapanować nad swymi odruchami, wyciągnął obie ręce i przejął naczynie, zwracając uwagę, iż było ono zadziwiająco lekkie. W tej samej chwili z trójkątnej, mrocznej czeluści po lewej wyłonił się odrażający w swej szpetocie Brązowy Jenkin. Wiedźma gestem nakazała mu przytrzymać misę w odpowiedniej pozycji, podczas gdy sama uniosła groteskowy nóż nad drobną, białą postacią w wyciągniętej prawie pionowo w górę prawej ręce. Włochate długozębe stworzenie zaczęło chichotać w odrażającej kontynuacji nieznanego rytuału, podczas gdy wiedźma skrzeczała w odpowiedzi. Gilman poczuł, że obrzydzenie, odraza i wstręt jak żywa istota przegryza się przez pancerz jego mentalnego i fizycznego paraliżu, i jasna metalowa misa zadygotała mu w rękach. Sekundę później widok opadającego noża do reszty przełamał czar i Gilman upuścił misę, pozwalając, by z brzękiem spadła na podłogę, podczas gdy jego ręce wystrzeliły szaleńczo naprzód, by zapobiec bluźnierczemu czynowi. W okamgnieniu dopadł staruchy i wyszarpnął nóż z jej szponiastych palców, po czym cisnął go bezceremonialnie na sam brzeg wąskiej, trójkątnej otchłani. Jednak już po chwili sytuacja uległa odwróceniu; mordercze jak szpony palce zacisnęły się brutalnie na jego szyi, a pomarszczone oblicze wykrzywił grymas szaleńczej wściekłości. Poczuł, jak łańcuszek taniego krzyżyka wpija mu się w szyję i w tej rozpaczliwej sytuacji przez ułamek sekundy zastanawiał się, jak widok krucyfiks podziałałby na tę złą istotę. Dysponowała nadludzkimi siłami i gdy nie przestawała go dusić, sięgnął niezdarnie ręką pod koszulę, zacisnął palce na niewielkim metalowym krzyżyku i zrywając łańcuszek, wyjął poświecony przedmiot na zewnątrz.

Na jego widok wiedźmę ogarnęła panika, a jej uścisk zelżał na chwilę dostatecznie długą, by Gilman całkowicie zdołał się jej wyrwać. Oderwał od szyi zacisnięte jak szpony żelazne palce staruchy i zapewne zawłókłby czarownicę na krawędź otchłani, gdyby wiedźma nie odzyskała sił i nie schwyciła go raz jeszcze za szyję. Tym razem niezwłocznie przeszedł do czynu i sam sięgnął oburącz gardła diabelnej istoty. Zanim się spostrzegła, oplatał jej szyję łańcuszkiem, a w chwilę potem zadzierzgnął tak silnie, że pozbawił staruchę tchu. Gdy zaczęła po raz ostatni stawiać opór, Gilman poczuł, że coś ugryzło go w kostkę, i ujrzał śpieszącego swej pani z pomocą Brązowego Jenkina. Jednym solidnym kopniakiem posłał szkaradzieństwo w otchłani i usłyszał jeszcze tylko płynący z drugiej strony, jakby z oddali, pisk podobnego do szczura chowańca.

Nie wiedział, czy zabił starą wiedźmę, lecz zostawił ją na podłodze, tam gdzie upadła. Naraz, odwróciwszy się, ujrzał na stole coś, czego widok nieomal doprowadził go do obłędu. Brązowy Jenkin, żyłasty i silny, o czterech małych, lecz diabelnie sprawnych, wyglądających jak ludzkie kończynach nie próżnował, podczas gdy on był duszony przez czarownicę i wszystkie jego wysiłki spełzyły na niczym. Nie pozwolił wiedźmie wbić noża w pierś dziecka, lecz nie zdołał powstrzymać żółtych kłów futrzastej, bluźnierczej istoty przed rozplątaniem maleństwu nadgarstka i miska stojąca obecnie na podłodze pod pozbawionym życia ciałkiem była napełniona po brzegi.

W sennym delirium Gilman usłyszał piekielny, przesycony obcym rytmem sabatowy zaśpiew płynący z bezkresnej dali, i wiedział, że musiał tam być Czarny Mężczyzna. Chaotyczne wspomnienia mieszały się z jego matematycznymi obliczeniami. Gilman wierzył, że jego podświadomość zawiera w sobie kąty, których potrzebował, by samotnie i pierwszy raz bez pomocy powrócić do normalnego świata. Był pewien, że znajdował się na zamkniętym od niepamiętnych czasów stryszku nad swoim pokojem, wątpił wszelako, czy drogę ucieczki mogły zagwarantować mu otwór w podłodze albo zapadnięte od wielu lat drzwi. I czy nie dostałby się w ten sposób do domu - snu, irracjonalnej projekcji prawdziwego budynku, którego poszukiwał.

Nie był pewien relacji pomiędzy snem a rzeczywistością, a niepewność ta wynikała z jego doświadczeń.

Przejście przez mgliste otchłanie zapowiadało się groźnie, rytm Walpurgii wibrował jak oszalały, a jakby tego było mało, musiałyby słuchać tego zawołanego kosmicznego pulsowania, którego tak bardzo się lękał. Nawet teraz wyczuwał niskie przeraźliwe drżenie, którego tempo było mu nazbyt dobrze znane.

W porze sabatu narastało ono niepomierne i przenikało wszystkie światy, by wezwać wiernych do odprawiania nienazwanych bluźnierczych rytuałów. Połowa sabatowych pieśni miała za podstawę owo słabo słyszalne pulsowanie, którego żadne ludzkie ucho nie było w stanie nieść w jego jawnym, ponadczasowym plugawym brzmieniu. Gilman zastanawiał się ponadto, czy mógł zaufać swemu instynktowi, że przywiedzie go na powrót do właściwego zakątka kosmosu. Skąd mógł mieć pewność, że nie wyląduje na zielonym wzgórzcu, na jakiejś odległej planecie, na brukowanym tarasie ponad miastem korpulentnych potworów o długich mackach, gdzieś poza granicami galaktyki lub w spirali czarnej otchłani owej ostatecznej pustki Chaosu, gdzie króluje bezmyślny demon - władca Azathoth?

Nim zdążył skoczyć w czeluść, fioletowe światło zgasło, pozostawiając go w absolutnych ciemnościach. Wiedźma - stara Keziah-Nahab - to musiało oznaczać jej śmierć. Pośród dźwięków odległej sabatowej pieśni i popiskiwania Brązowego Jenkina w otchłani poniżej wychwylił, jak mu się zdawało, inne, jeszcze dziksze zawodzenie płynące z nieznanym otchłani. Joe Mazurewicz... modlitwy dla ochrony przez pełzającym Chaosem zmieniały się teraz, nie wiadomo czemu, w triumfalny wrzask... całe światy sardonicznej rzeczywistości zderzające się pośród wirów gorączkowego snu - Iä! Shub-Niggurath! Koza z Tysiącem Młodych...

Odnaleźli Gilmana na długo przed świtem, leżącego na podłodze jego niezwykłego, pełnego dziwnych kątów pokoju na poddaszu, gdyż przeraźliwy wrzask natychmiast sprowadził na górę Desrochersa, Choińskiego, Dombrowskiego i Mazurewicza - po drodze obudzili nawet śpiącego smacznie na krześle Elwooda. Gilman żył i miał otwarte oczy, ale wydawał się nieprzytomny. Na szali miał sińce, ślady morderczych dłoni, a na lewej kostce brzydką ranę, jak od zębów szczura. Ubranie miał fatalnie pomięte, zniknął również otrzymany od Mazurewicza krucyfiks. Elwood zadygotał, lękał się nawet domniemywać, jaką nową formę przyjął somnambulizm jego przyjaciela. Mazurewicz wydawał się na wpół oszołomiony z powodu „znaku”, który jakoby otrzymał w odpowiedzi na swoje modlitwy, i przeżegnał się gwałtownie, usłyszawszy popiskiwanie szczura dobiegające gdzieś spoza ukośnie nachylonej ściany.

Kiedy śpiącego ułożono na kozetce w pokoju Elwooda, posłano po doktora Małkowskiego, tutejszego lekarza domowego, który w razie jakichś kłopotliwych sytuacji potrafił trzymać język za zębami. Doktor zaaplikował Gilmanowi dwa zastrzyki, po których młodzieniec odprężył się i miał zapaść w bardziej naturalny sen. W dzień pacjent co pewien czas odzyskiwał przytomność i nieco chaotycznie opowiadał Elwoodowi swój najnowszy sen. Szło mu to niesporo i już na samym początku ujawniony został całkiem nowy, niepokojący fakt.

Gilman jeszcze tak niedawno mógł poszczycić się wyjątkowo czułym słuchem, a teraz był głuchy jak pień. Doktor Małkowski, którego natychmiast wezwano po raz wtóry, powiedział Elwoodowi, że oba bębny w uszach jego przyjaciela popękały, jakby pod wpływem fali dźwiękowej, której siła i natężenie wykraczały poza ludzkie zdolności pojmowania i wytrzymałości. Dobroduszny lekarz nie potrafił wyjaśnić, jakim cudem taki dźwięk mógł pojawić się w tej okolicy w ciągu ostatnich kilku godzin, by nie zaalarmować mieszkańców całej doliny Miskatonic.

Elwood zaczął zapisywać swoje pytania i odpowiedzi na papierze, dzięki czemu z chorym nawiązano względnie prosty sposób komunikowania się. Żaden ze studentów nie wiedział, jak traktować całą tę chaotyczną sytuację, obaj więc zgodnie uznali, że lepiej nie zaprzętać sobie tym głowy i najszybciej, jak się da, muszą wyprowadzić się z tego starego, przeklętego domu.

Wieczne gazety donosiły o nalocie policji na osobliwą grupę birbantów urządzających nocny piknik w parowie za Meadow Hill, wspominając przy tym, iż tamtejsze białe kamienie wśród zabobonnych ludzi od wieków już owiane były szczególnie złą sławą. Nikogo nie schwytano, a wśród uciekających uwagę stróżów prawa zwrócił pewien wyjątkowo rosy Murzyn. W następnej kolumnie pisano, iż nie odnaleziono jak dotąd żadnych śladów zaginionego chłopca, Ladislasa Wołjko.

Koszmar osiągnął swe apogeum tej samej nocy. Elwood nigdy tego nie zapomni, bądź co bądź, to ze względu na

wynikłe wskutek tego zdarzenia załamanie nerwowe zmuszony był opuścić do końca semestru wszystkie zajęcia w college'u. Wydawało mu się przez cały wieczór, że słyszy dochodzące z wnętrza ścian drapanie i skrobanie szczurów, lecz nie zwrócił na to większej uwagi.

I nagle, długo po tym, jak Gilman i on zasnęli, rozległy się przeraźliwe, mrozące krew w żyłach wrzaski. Elwood poderwał się, zapalił światło i podbiegł do kozetki swego gościa. Młodzieniec wydawał z siebie zgoła nieludzkie odgłosy, jakby przeżywał właśnie niewyobrażalne, nieopisane katusze. Wił się pod kocem, na powierzchni którego pojawiła się wielka czerwona plama.

Elwood nie ważył się go dotknąć, lecz stopniowo konwulsje ustały, a przerażające wycie ucichło. Do tej pory w progu pojawili się Dombrowski, Choiński, Desrochers, Mazurewicz i drugi mieszkaniec poddasza, a właściciel posłał żonę, by zadzwoniła po doktora Małkowskiego. Wszyscy głośno wrzasnęli, gdy spod okrwawionej pościeli wyprysnęło nagle przypominające sporego szczura stworzenie i przemknęło po podłodze do nowej wyżartej w ścianie dziury. Zanim zjawił się lekarz i odchylił zbrukany krwią koc, Walter Gilman już nie żył.

Barbarzyństwem byłoby opowiedzieć dokładnie, co i jak zabiło Gilmana. W jego ciele dosłownie i w przenośni wryty został tunel, przez który, przecisnąwszy się, coś wyżarło mu serce. Dombrowski poruszony porażką w swej walce ze szczurem, nie przejmując się utratą czynszów, w ciągu tygodnia przeniósł starszych lokatorów do zaniedbanego, lecz nie tak starego domu przy Walnut Street. Najtrudniejsze było obecnie zmuszenie do milczenia Joe Mazurewicza, gdyż posępny mechanik nie trzeźwiał ani na chwilę i przez cały czas bredził o przerażających zjawach i potwornych istotach.

Wydaje się, że ostatniej upiornej nocy Joe schylił się, by spojrzeć na szkarłatne tropy szczura wiodące od kozetki Gilmana do pobliskiej dziury w ścianie. Na dywanie były one bardzo niewyraźne, lecz między brzegiem dywanu a listwą przypodłogową znajdował się odcinek gołej podłogi. Tam Mazurewicz znalazł coś przerażającego - lub przynajmniej tak mu się wydawało, bo nikt inny nie zgadzał się z nim w pełni, z wyjątkiem tego, że widniejące na drewnie ślady są, delikatnie mówiąc, niezwykle. Nie przypominały szczurzych śladów, ale nawet Choiński i Des-rochers nie chcieli przyznać, że wyglądały jak ślady pozostawione przez cztery małe ludzkie dłonie.

Domu nigdy już potem nie wynajęto. Gdy Dombrowski przeniósł stamtąd swoich lokatorów, budynek zaczął gwałtownie, jakby w przyspieszonym tempie obracać się w ruinę. Ludzie omijali go zarówno ze względu na paskudną reputację, jak i na wyczuwalny od niedawna, nieprzyjemny odór. Możliwe, że trutka na szczury wyłożona przez byłego właściciela kamienicy spełniła w końcu swoje zadanie, gdyż niedługo po jego wyprowadzce budowla stała się solą w oku okolicznych mieszkańców. Pracownicy departamentu zdrowia wysłędzili, że odór płynął z zamkniętych pomieszczeń nad i obok wschodniego pokoju na poddaszu i zgodnie przyznali, że liczba padłych szczurów musi być ogromna. Uznali wszelako, że otwarcie z dawna zamkniętych pomieszczeń i poddanie ich dezynfekcji nie jest warte zachodu, gdyż woń wkrótce się ulotni, a dom raczej nie oferował standardów dla wybrednych lokatorów. Szczerze mówiąc, wśród miejscowych krążyły od lat nie do końca prawdziwe opowieści, jakoby na poddaszu Domu Wiedźmy co roku po Nocy Walpurgii i wigilii Wszystkich Świętych czuło się nieprzyjemną woń. W tej sprawie okoliczni mieszkańcy zgodnie milczeli, lecz odrażający fetor, tak czy inaczej, był jeszcze jednym minusem na całym pokaźnej liście wad kamienicy. W końcu inspektor budowlany ostatecznie zdecydował ojej losie. Sny Gilmana i towarzyszące im wydarzenia nigdy nie doczekały się wyjaśnienia. Elwood, którego zdanie na ich temat bywa niekiedy dość skrajne, żeby nie powiedzieć szalone, wrócił jesienią na uczelnię i w czerwcu następnego roku zdał pomyślnie egzaminy końcowe. Stwierdził, że w mieście nie roіło się, jak uprzednio, od mrocznych plotek, i, co było niezaprzeczalnym faktem, pomimo pojawiających się od czasu do czasu doniesień o upiornym chichocie rozlegającym się w opuszczonym domu, które miały niemal równie długi żywot jak sama kamienica, od czasu śmierci Gilmana nikt nie widział już Starej Keziah ani Brązowego Jenkina. To raczej szczęśliwy traf, że Elwooda nie było w Arkham nieco później tego roku, kiedy wskutek pewnych wydarzeń ożyły krążące wśród miejscowych plotki o koszmarach z przeszłości. Oczywiście dowiedział się o tym później i przeżył chwile mrocznej udręki wypełnione najbardziej fantastycznymi domniemaniami, nawet to jednak nie było tak przerażające jak uczestnictwo w owych wypadkach i ujrzenie pewnych wyjątkowo odrażających szczegółów na własne oczy.

W marcu 1931 roku wichura zerwała dach i zvaliła wielki komin opuszczonego Domu Wiedźmy. W efekcie kaskady cegieł, poczerniałych, omszałych gontów i gnijących belek oraz desek zasypały stryszek i przebiły podłogę poniżej. Całe poddasze zostało zawałone szczątkami dachu, nikt wszelako nie pokwapił się zrobić z tym porządku, licząc na to, że cała skazana na zagładę budowla zawali się sama. Ostatnia kropla przepełniła czarę w grudniu i wtedy właśnie, gdy robotnicy z wahaniem i nie bez obaw weszli, by uprzątnąć pokój Gilmana, pojawiły się pierwsze plotki.

Wśród gruzów, które przebiły się przez prastary, pochyły sufit, znajdowało się kilka rzeczy, na widok których robotnicy przerwali prace i wezwali policję. Stróże prawa z kolei wezwali koronera i kilku profesorów z uniwersytetu. Odkryto kości, mocno pogruchothane i rozszczepione, lecz bez trudu dające się rozpoznać jako ludzkie i względnie młode, co w zagadkowy sposób przeczyło powszechnie znanemu faktowi, iż miejsce, gdzie niewątpliwie musiały spoczywać na niskim stryszku w pochyłej podłodze, z dawien dawna było zamknięte na cztery spusty i ogólnie niedostępne. Lekarz sądowy ocenił, że niektóre z kości należały do małego dziecka, podczas gdy inne, znalezione wśród strzępów przegniłego brązowego ubrania, raczej do niskiej, przygarbionej i mocno posuniętej w latach kobiety. Przeszukując gruzy, odkryto również wiele drobnych kości szczurów, które zginęły podczas zawałenia się dachu, jak również starsze szczurze kości noszące ślady mniejszych zębów, które to znaki wzbudziły wiele kontrowersji i pytań pozostających bez odpowiedzi.

Wśród innych odnalezionych przedmiotów znalazły się okrutnie zniszczone fragmenty wielu ksiąg i pism, a także żółtawy pył, jedyna pozostałość po jeszcze starszych woluminach i papierach. Wszystkie one bez wyjątku traktowały najwyraźniej o czarnej magii w jej najbardziej zaawansowanych i przeraźliwych formach; fakt zaś, iż pewne przedmioty wydawały się względnie nowe, pozostaje po dziś dzień zagadką, podobnie jak młody wiek niektórych z odnalezionych w ruinach kości. Jeszcze większą tajemnicą jest absolutna jednolitość stylu niewyraźnego archaicznego pisma odnalezionego na plikach papierów, których stan i znaki wodne sugerują różnicę wieku około stu pięćdziesięciu - dwustu lat. Dla niektórych jednak największą ze wszystkich zagadką jest cała masa przedmiotów niejasnego zastosowania, których kształty, struktura, sposób wytworzenia i przeznaczenie mogły niejednego naukowca zapędzić w kozi róg, a które odkryto rozrzucone wśród gruzów, uszkodzone w większym lub mniejszym stopniu. Jedną z tych rzeczy, która szczególnie zainteresowała i zdeprymowała profesorów z uniwersytetu Miskatonic, to mocno uszkodzony potworny kolos, będący powiększoną kopią osobiwej figurki podarowanej uczelnianemu muzeum przez Gilmana, tyle tylko, że ten był naprawdę olbrzymi, wsparty na dziwnym, kanciastym piedestale, zdobiony nieznanymi hieroglifami i wykuty z jakiegoś niebieskiego kamienia, miast wyrzeźbiony w metalu.

Archeolodzy i antropolodzy wciąż starają się wyjaśnić niezwykle wzory zdobiące zmiażdżoną misę z jasnego metalu, której wnętrze, gdy ją znaleziono, pokryte było złowieszczymi, brązowymi plamami. Cudzoziemcy i przesądne babiny są równie gadatliwi, jeżeli chodzi o współczesny, niklowany krucyfiks z zerwanym łańcuszkiem, znaleziony w rumowisku i zidentyfikowany jako należący do Joe Mazurewicza, który podarował go przed wieloma laty nieszczęsnemu Gilmanowi. Niektórzy wierzyli, że krzyżyk zawlokły na stryszek szczury, inni byli przekonani, że musiał on leżeć przez cały czas w kącie starego mieszkania Waltera. Jeszcze inni, w tym także Joe, wyznawali bardziej fantastyczne teorie, których jednak nie mógłby przyjąć nikt o zdrowych zmysłach.

Kiedy zwalono ukośną ścianę pokoju Gilmana, stwierdzono, że zamknięta ongiś na głucho wolna przestrzeń pomiędzy ścianką działową a północną ścianą domu zawierała znacznie mniej gruzów, niż oczekiwano, zważywszy na jej wielkość. Odkryto jednak w niej coś znacznie gorszego, co sprawiło, że robotnicy pracujący przy rozbiórce przeżyli prawdziwy koszmar. Pokróćce, było to jedno wielkie ossarium - bluźniercze cmentarzysko wypełnione kośćmi małych dzieci, szczątkami zarówno świeżymi, jak i pochodzącymi z tak zamierzchłej przeszłości, że przy lada dotknięciu obracały się w pył. Na szczycie tej usypanej z kości odrażającej sterty szczątków leżał wielki, z wyglądu stary nóż o groteskowym kształcie i bogato zdobionej egzotycznymi symbolami rękojeści.

Pośród tych doczesnych szczątków, zakleszczone pomiędzy złamaną deską i stertą cegieł ze zwalonego komina, znajdowało się coś, co spowodowało w całym Arkham jeszcze większe zamieszanie, przerażenie oraz nową falę plotek, przewyższając swymi rozmiarami zgrozę i oszołomienie wywołane wielkimi innymi znaleziskami dokonanymi w tym przeklętym budynku. Był to po części zmiażdżony szkielet wielkiego chorego szczura, którego anomalie w wyglądzie są wciąż jeszcze przedmiotem gorących dyskusji i źródłem wyjątkowej powściągliwości wśród wykładowców z wydziału anatomii porównawczej uniwersytetu Miskatonic. Na temat tego szkieletu wiadomo raczej niewiele, przecieki informacji nie były zbyt obfite, lecz robotnicy, którzy go odkryli, pełnym przerażenia szeptem wspominali o długiej brązowej sierści, którą pokryte było truchło.

Jak głoszą plotki, kości łapek tego dziwnego okazu są bardziej charakterystyczne dla pewnego gatunku małej małpki niż dla szczura, podczas gdy drobna czaszka z duży mi, żółtawymi kłami, nawiasem mówiąc, największa u tego okazu anomalia, stanowi po dziś dzień nieodgadnioną zagadkę. Oglądana bowiem pod pewnymi kątami, przypomina miniaturowy, potwornie zniekształcony ludzki czerep, stanowiąc jakby jego bliźniaczą parodię. Robotnicy, natknąwszy się na te plugawe szczątki, zaczęli żegnać się gorączkowo, później jednak wszyscy, bez wyjątku, regularnie zapalili na znak wdzięczności świece w kościele św. Stanisława, byli bowiem przekonani, że już nigdy nie usłyszą tego przeraźliwego, mrozącego krew w żyłach, piskliwego chichotu

**Autor:** Howard Phillips Lovecraft

---

[Początek]